

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JOANNA KULMOWA**

**SERCE JAK ŻŁOTY GOŁĄB**

**Copyright by Joanna Kulmowa**

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS  
GDAŃSK 2002**

## SERCE JAK ŻŁOTY GOŁĄB

Patrzcie no, jaki żołnierz! Jaki zuch!

Nogami takt wybija w marszu – i raz! i dwa! i raz! Aż ludzie ustępują mu z drogi. Takiemu narazić się niebezpiecznie! Zabijaka!

Dokąd ten żołnierz idzie? Do koszar? Tak zawadiacko? E, nie. Pewnie idzie na wroga. Albo dostał przepustkę, idzie do swojej dziewczyny. A może on nie ma dziewczyny? Jak to nie ma? Taki wojak? Taki! Wojak!

Piękny jak malowanie. Wesoły jak piosenka o wojnie: na wroga! cel! pal! bumtara-ra!

Czerwone ma wyłogi, cytrynowe naszywki. Guziki błyszczące, pętlice ze srebrnego sznura. Pas gruby na pięć palców, kaburę z pistoletem u pasa. Oj, będzie celował, będzie strzelał! Taki żołnierz!

Bo to mówią, że wróg już się czai. Że spiskuje i zmawia się przeciw żołnierzowej ojczyźnie. Z jednej strony Firdulencja. Z drugiej strony Merdania. A z trzeciej Bramburaki z księciem Bramburą Sto Piątym. Ci najgorsi, bo świętują we wtorek. Nie można od kogoś takiego wymagać uczciwości... Ale co nam robią, kiedy u nas taki wojak. Taki! Wojak!

Widać po nim od razu, że serce ma stalowe. Albo wcale nie ma serca. Że się nie zawaha, że wyceli, że wypali. Takich trzeba: niezachwianych. Dla których wojenka – chleb z miodem, wróg – mucha, a rozkaz – najmiłsza muzyka. Takiemu nie żal przepustki dać. Przecież nie ot, tak sobie ją dostał. O, nie! Dobrze na nią zasłużył. Właśnie zdobył pięć piątek przed samym generałem. Pierwszą piątkę za salutowanie. Drugą za maszerowanie. Trzecią za padanie. Czwartą za baczność. A piątą za spocznij.

Więc mu powiedziano: jak spocznij – to spocznij. Bierz przepustkę, przyjacielu, masz wychodne na miasto. Do pierwszej mgły wieczornej, do pierwszej gwiazdy odbitej w stawie. Odetchnij wiosennym powietrzem. Z rodzicami się zobacz. Idź z dziewczyną na spacer. Niech tam widzą ludzie, jaki z ciebie żołnierz. Może już niedługo pójdziesz na wojenkę? Kto wie? Bramburaki knują, patrzy na to Firdulencja, słucha tego Merdania...

Ale żołnierz nie miał rodziców w tym mieście. Dziewczyna żadna też go sobie jeszcze nie wzięła – śmiałości nie miała. Pozostało mu tylko powietrzem wiosennym oddychanie. Usiadł w parku nad stawem, żeby nie przegapić pierwszej gwiazdy – i oddychał. Regulaminowo, jak uczyli: wdech, wydech,

wdech, wydech.

A ziemia wokół stawu pachniała majem, jakby kto świeży szczypior polał śmietaną. Przypomniła się żołnierzowi rodzinna wieś, przypomniała się cebulka siedmiolatka, jak tam zielone wąsy wypuszcza, i tak jakby na tę chwilę trochę żołnierskiej piękności utracił. Już mu się prawie przypomniała matka, prawie i ojciec... Ale powstrzymał nieregulaminowe westchnienie.

– Pierwej Bramburaki! – powiedział sobie. – Pierwej Sto Piąty! O wrogach trzeba myśleć, nie o swoich. Albo to ja nie żołnierz?

I tak go to przypiliło, że pochylił się nad wodą, żeby zobaczyć, czy nie ma jeszcze pierwszej gwiazdy w stawie.

Zobaczył tam żołnierza jak malowanie! Naszywki cytrynowe, czerwone wyłogi. Pętlice ze srebrnego sznura, błyszczące guziki, i złotą gwiazdę właśnie tam, gdzie powinno być serce.

– Dobra wróżba – mruknął. – Gwiazda na piersi... Może mi przypną medal za żołnierskie zasługi? Bo dobry jestem, nie ma co.

Ledwie to powiedział, wydało mu się, że ktoś go woła:

– Żołnierzu! Dobry żołnierzu!

A już gwiazda ściągnęła za sobą pierwszą wieczorną mgłę. Więc nieźle musiał żołnierz wzrok nateńczyć, nim wypatrzył siedzącą w olszynie gołąbkę.

– Ejże! Tyś mnie to wołał, ptaszku?

A gołąbka dalejże zawodzić po gołębiemu:

– Oj żołnierzu! Oj, dobry żołnierzu! Jeżeliś taki dobry, to znajdź moje gołębiątko, znajdź mi pisklątko moje!

„Bojowe to musi być zadanie, skoro gołąb do żołnierza przemawia” – pomyślał żołnierz.

I mówi:

– Jak masz na piśmie rozkaz od generała, od pułkownika choćby, to a jakże, załatwię. Jak nie, to muszę do koszar wracać, bo już mgła wieczorna schodzi na ziemię.

Gołąbka w płacz:

– Biedna ja, biedna, gdzież mi tam rozkazy na piśmie! Żadnego rozkazu nie mam, tylko gołębie serce... Myślałam, że i ty, bo mówiłeś, żeś dobry! Oj, nie zobaczę nigdy mojego pisklątka...

– Prawda, mówiłem, żeś dobry żołnierz. Ale co do serca, to regulamin nie przewiduje. Pierś żołnierska jest do złotych medali, to i owszem, przewidziano.

Ale gołąbka jęczy, jakby go wcale nie słyszała:

– Oj, syneczku, syneczku! Oj, gołąbeczku złoty! Kto mi ciebie odnajdzie, kto matce pomoże...

I znów tak jakby ubyło żołnierzowi trochę dziarskiej piękności, bo prawie matkę, prawie ojca sobie przypomniał, więc żeby to natrętne wspomnienie odpędzić, powiada ostro:

– A ty, ptaku, żołnierza nie rozczulaj, bo to obrońca twojego gniazdeczka! Już lepiej pójdę i poszukam twojego synka, tylko nie mów, że on złoty. Złote są

medale i już.

I poszedł szukać gołębiątka po całym parku.

Szukał w jaśminach, mało munduru nie wyplamił. Szukał w krzakach akacjowych, mało nie zdarł naszywek. Szukał w tureckim bzie, mało sznurów srebrnych nie potargał. A mgła gęstniała coraz chłodniejsza, a gwiazd coraz więcej przybywało w stawie. Aż tu zaświeciło coś w krzewie dzikiej róży. Siegnął żołnierz ręką między kolczaste gałęzie i jak z klatki ciernistej wydobył drżące, złociste pisklątko gołębie.

– Złoty gołąbek! Prawdę rzekła twoja matka!

A gołębicą już trzepotała nad nimi radośnie, już wiodła ich na powrót do swojego gniazda, do synka słodko gruchała, wygładzała mu zmierzwiłone złote piórka – aż i żołnierz oczu nie mógł oderwać od tego widoku. Zapomniało mu się o gwieździe w stawie odbitej i o przedwieczornej mgle. Zapomniało się o koszarach i o Bramburakach, i o Firdulencji, i o Merdanii – z tej dumy, że matce pisklątko odnalazł.

Gołębicą pierwsza przypomniała sobie o żołnierskich obowiązkach.

– Rety, wszystko mi z ptasiego mózdzku wywietrzało! Miałeś przecież do koszar wrócić... A ja ci jeszcze nie podziękowałam jak trzeba.

– Co mi tam podziękaj!

– O, nie udawaj mi, że serca nie masz. Serce twoje – gołąbek złoty, wszystko mu się co najlepsze należy. Mów: co dla ciebie najlepsze na świecie? Co zechcesz – dostaniesz.

Roześmiał się żołnierz. Pierwszy to raz gadał z gołębicą, ani myślał, że ptak potrafi gadać, ani – że ptasią obietnicę spełni.

„Spróbuję od rzeczy użytecznej zacząć – pomyślał. – Zobaczymy, jak sobie gołąb radzi z regulaminem...”

I powiada:

– Ano, dobrze byłoby wrócić migiem do koszar, żeby nie kazali do raportu. Regulaminowo, rozumiesz? A gołąbka wcale się nie zająknęła.

– Tak będzie – grucha. – Zaraz cię zaniósą moi krewniacy. Ale nie pytałam ciebie, co byłoby dobre, tylko co najlepsze. Mów.

Żołnierz czapkę przesunął i podrapał się w głowę.

„Obiecanki cacanki – pomyślał. – Trzeba jej takie życzenie wymyślić, żeby się wstydziła obiecywać.”

I mówi:

– Ano, dobrze byłoby zaraz do koszar wrócić, ale lepiej byłoby w tym wojsku służyć ze sto lat. Żołnierski żywot niepewny, a ja chcę wojować i dzielnie, i długo.

A gołąbeczka wcale nie strapiona.

– Tak będzie, przyjacielu. Zaraz cię moi krewniacy namaszczą ptasim mlekiem. To, co w tobie żywe, będzie trwało. Ale nie pytałam, co dobre i co lepsze, tylko co najlepsze. Mów.

Spodobało się żołnierzowi to o ptasim mleku, bo słyszał od kaprała o takim

sposobie, lecz i głupio mu troszeczkę było wyznać największe marzenie, to spod samego serca wyrwane. Ale głupio też dobremu żołnierzowi gadać o kulkach do niego wystrzelonych, a nie o tych, które on wystrzeli. Niewiele już myśląc, rąbnął na odlew:

– Najlepsze to kulę mieć taką, co wroga trafia niechybnie, na śmierć.

Powiedział – i zdumiał się niezmiernie.

Bo wokoło zrobiła się wielka cisza. Olszynowe liście przestały dygotać, w stawie znieruchomiały gwiazdy, wiatr przedwieczorny przypadł do ziemi, żaby – co już wyszły na orechotanie nocy – przerwały swój koncert. Nawet odnaleziony gołąbek przestał czyścić złote piórka i w nagłym trzepocie przytulił się do matki. Jakby słowo śmierć nakazało zatrzymanie serca wszystkiemu, co żyje.

– No co? – zawołał zaczepnie żołnierz.

W tej ciszy głucho zabrzmiało jego wołanie – i odpowiedź gołąbicy.

– Tak będzie. Dostaniesz, przyjacielu.

– Kulę, co wrogów zabija?

– Kulę niechybną. Ale wroga szukaj sobie sam. Czyż nie masz gołębiego serca?

Żołnierz uśmiechnął się w duchu. Bylebyś mi, gołąbko, tę kulę dała, to już o resztę się nie martw! Gołębie serce! Jeśli już ma żołnierz nieprzewidziane regulaminem serce, to lwie albo tygrysie. A może i ze stali? Taki wojak? Taki! Wojak!

I co to znaczy: „Wroga szukaj”? Wrogów przecież tysiące. Bo i Merdania, i Firdulencja, i Bramburaki. Każdy, kto zmawia się i czai. A nawet taki, co nie zmawia się i nie czai, lecz mógłby zmawiać się i czaić, bo nie jest żołnierzowym rodakiem. Takiemu śmierć! śmierć! śmierć! Ale już lepiej nie mówić tego na głos, jeżeli tak tchórzliwe jest serce wszystkiego, co żyje...

\* \* \*

Tymczasem nad staw zleciały się gołębie: srebrne, błękitne, tęczowe, brunatne. Siniaki i grzywacze, turkawki i synogarlice tureckie. Krążyły nad wodą jak jeszcze jeden tuman przedwieczornej mgły, ale nie bezszelestny, tylko szumny i trzepoczący. Każdy z ptaków miał w dziobie długie źdźbło trzciny. Ptaki kołowały, mijały się, splatały i rozplatały w powietrzu, aż nagle żołnierz zobaczył, że z tej trzciny powiązały ogromną sieć, którą zanurzają w stawie. Jeszcze chwila i w poderwanej z nagła sieci zalśniła złota ryba – a może gwiazda, co pierwsza odbiła się w wodzie? A może medal, który żołnierz przeczuł na swojej piersi?

– Oto kula złota – powiedziała gołąbka. – Kula niechybna. Niech ci służy.

Żołnierz wyłuskał złotą kulę z trzcinowej sieci – chłodna była w dotyku, a przecież czuł ją jak gorący płomień. Wnet schował ją do woreczka na piersi.

Upuszczona teraz przez gołębie sieć pływała po stawie. Gołębie obsiadły ją

gęsto, a gdy znów poderwały się do lotu, cały staw zaszedł bielmem jak oko chorego ptaka.

– Ptasie mleko – powiedziała gołąbka. – Wykap się w nim, przyjacielu.

Żołnierz rozsuł się, rozebrał i zanurzył w stawie. A choć woda była zimna, ptasie mleko rozgrzało żołnierza tak, że woreczek ze złotą kulą nie palił go już wcale.

Kiedy się żołnierz ubierał, gołębie znów obniżyły lot. Trwały nad nim zwarcie i nieporuszenie jak wielka, nieruchoma pierzyna.

– Oto latający dywan – powiedziała gołąbka. – Wrócisz nim do koszar.

Dywan gołębi podścielił się pod żołnierskie buciory, a później znów poderwał, niosąc żołnierza regulaminowo do koszar. Dopiero tuż-tuż przed czerwonym murem ptaki opadły na trawę przy tramwajowym torze: zaczęły się przechadzać i gruchać, jakby szukały odpadków w koszach na przystanku.

– Czołem, cześć! – zawołał żołnierz. – A pożegnajcie ode mnie gołębicę!

– Ty co, zaspaleś? – zapytali go na wartowni. – Pierzynę masz we włosach.

I wartownicy w śmiech.

Bo w koszarach nie był już takim wojakiem. Był po prostu żołnierzem jak inni.

„Ejże, do czasu! – myślał sobie. – Do czasu!”

A czasu miał przecież dużo, bo namaszczone go mlekiem ptasim i to, co żywe, miało przetrwać...

„Pokażę ja wam tu wszystkim, kto pozabija najprawdziwszych naszych wrogów” – myślał.

Miał teraz wszakże kulę niechybną...

Zza koszarowego muru frunęły gołębie. Zebrały się w spore stado i krążyły nad koszarami, aż wsiąkły w gęstniejącą noc. Wtedy wydało się żołnierzowi, że wraz z szumem skrzydeł gołębic dobiega go dalekie gruchanie, w którym słychać piosenkę:

*Nie szukaj wrogów wokół,  
twoje serce gołąb złoty, złoty gołąb.  
Niech się nie trwoży darmo.  
Daj mu ciszy ziarno jedno, jedno ziarno.*

Patrzcie no, jaki żołnierz! jaki zuch!

Co z tego, że nie zaczęła się wojna? Że Bramburaki, że Firdulencja cicho siedzą? Gdzie żołnierz – tam front. Jeśli wroga napotka – zabije. Wyceli, wypali, trafi. Kulą niechybną, z dwustu metrów w ucho igielne trafiającą. Taki wojak! Taki! Wojak!

Wszakże komandor główny w codziennej gazecie co dnia tak samo przemawia do żołnierzy. I to na pierwszej stronie, i to krzyżującymi literami. Precz z Bramburakami! Precz z Bramburą Sto Piątym!

Przemawia komandor główny długim rzędkiem liter o tym, jak to księżę

Brambura wizytuje wojsko, jak swoje obozy nadgraniczne objeżdża. Precz z księciem! A właśnie armia bramburacka stoi niedaleko granicy, jakby się drażnić chciała. Wystarczy wyjść na pagóry za miastem – już widać granicę, jak na dłoni, za tą granicą młody las, za tym lasem namioty bramburackie. Precz z Bramburakami! Precz!

Bramburaki zapewne knują zdradę sąsiedzką, a księżę Brambura jest najpodstępniejszy z nich, bo to głowa wrogiego narodu. Głowę z karku zrzucić – to naród zamordować, za jednym zamachem pozbyć się Bramburaków. A bez Bramburaków nie odważą się na podstęp ani Firdulencja, ani Merdania, oni zresztą nie świętują we wtorki.

Więc jeśli ktoś dostał kulę niechybną, jeśli namaszczony został mleczkiem ptasim, żeby z niego to, co żywe, przetrwało, jeśli w dodatku taki z niego wojak – to czemu nie miałby pomóc swojemu krajowi? Szkoda byłoby kulę niechybną zmarnować na byle zwyczajnego wroga: niechaj już będzie raz a dobrze.

Precz z Bramburą Sto Piątym!

Przeczytał to żołnierz z nabożeństwem, podkreślił czerwonym ołówkiem krzyczące litery, przypiął gazetę do swojej poduszki, żeby wszyscy wiedzieli, co zamierza. Później zaczął, aż mury koszarowe zadrzą od wielkiego chrapania. Wstał, owinął się peleryną i przez okno wyskoczył w noc.

Wartownik przy bramie zawołał groźnie:

– Stój, kto idzie?

Lecz jakiś przebudzony gołąb poderwał się z koszarowego muru, siadł na głowie wartownika, zasłaniając mu skrzydłami oczy. A żołnierzowi też jakby skrzydła wyrosły! Przeskoczył mur, przemierzył miasto, podmiejskie pole, bezleśne pagóry. Wreszcie, wyczerpany, przypadł do ziemi oddychając wiatrem i nocą wiosenną: wdech, wydech, wdech, wydech. Regulaminowo.

Może by i zapomniał o śmiertelnym wrogu, bo pachniało na polanach czekającą na deszcz trawą i czekającym w obłokach deszczem, a chmury świeciły tak, że tylko sięść na zboczu i patrzeć, i patrzeć. Już prawie i wspomniał żołnierz swoją wieś rodzinną, cebulkę siedmiolatkę, co tam zielone wąsy wystawia, ogród, matkę, ojca – kiedy, z nagłą zobaczył w dolinie ognie bramburackiego poligonu, które, pozornie zamaskowane, bezwstydnie zamaskowanie swoje ogłaszały.

Precz z Bramburakami!

Zagrała w żołnierskiej głowie zwykła pobudka: albom to ja nie żołnierz? Wojak! Taki! Wojak!

Przeczołgał się przez wyorany pas, który linię graniczną zaznaczał. Kiedy tak leżał na brzuchu w zaroślach czeremchy, buchnęło od strony bramburackiej gromkie: niech żyje! Żołnierz poderwał się na równe nogi, za pień dębu uskoczył i dalej podpatrywać, uważając, by samemu nie być podpatrzonym.

To było powitanie księcia, co na karym wierzchołku objeżdżał wyprostowane na baczność szeregi. Zadudniły werble, sypnęły iskrami ogniska, do których dorzucono chrustu na książęcą miarę. Jasno zrobiło się jak w biały



dzień. Samym środkiem tej jasności jechał stępa Brambura Sto Piąty, życzliwy i bliski ludziom niczym starszy brat. Nie na wroga wyglądał: na człowieka. Nie na ruchomy cel: na stworzenie z krwi i kości.

– To wróg! – powtórzył sobie szeptem żołnierz, aby tylko nie dać się zwieść tej ludzkiej zwyczajności.

Wytknął pistolet zza pnia dębu i strzelił.

Kula, wirując jak trzmiel i bzykając, odbiła się od księcia, krzywdy mu nie zrobiwszy, i na powrót leciała ku żołnierzowi, aż na koniec z trzaskiem wpadła do lufy.

Jakże to? Nie zabił? Kulą tak niechybną?

Znieruchomiał żołnierz z wielkiego zdumienia jakby w ziemię wrósł. Nawet nie schował się za pień dębowy, nawet się nie spłoszył, kiedy księżę wierzchowca swego obrócił w stronę dębu, kiedy biec ku niemu poczęli bramburaccy adiutanci.

– Gołębico przekłeta! – zawołał żołnierz. – Oszukałaś mnie! Nic niewarta twoja złota kula!

– Brać go! – krzyknął Sto Piąty, co rumakiem karym już na dąb najeżdżał.

Zaszumiały obłoki, w których czekał deszcz. Spadło na ziemię świecące stado chmur. Ale nie deszcz to szumiał, tylko skrzydła gołębie. Nie obłoki zasłoniły żołnierza przed księciem, lecz gołębie pióra. I znów poniósł go dywan, uścielony z ptaków, nad polami, pagórami, za przedmieście i koszary, aż do parku miejskiego, nad brzeg stawu, gdzie na gałęzi olchy srebrzyła się w blasku gwiazd gołąbka.

– Rada jestem – zagruchała. – Rada, że masz gołębie serce. Że wroga ocaliłeś przed niechybną kulą.

– Ja ocaliłem? – wrzasnął żołnierz. – Ja? To twoja kula niechybna chybiła! Oszukałaś mnie, więdźmo pierzasta!

Obruszyła się na to gołąbka.

– Jakże mogłabym szukać wybawcę mojego pisklęcia! Widać ten wróg nie jest najprawdziwszym twoim wrogiem i serce twoje to rozpoznało.

– A co powtarza nam co dzień komandor główny? Co krzyczącymi literami w gazecie stoi? Precz z Bramburą Sto Piątym! Precz z Bramburakami!

Tak się żołnierz rozżalił, że o nadbrzeżną glinę tupał buciskami, że pięściami wygrażał nie wiadomo komu: czy Bramburakom, czy tym, co go na Bramburaków podjudzali, czy przeciw świętowaniu we wtorki, czy przeciwko codziennej musztrze, która mu tak wszystko uładziła, że każda nowa myśl go bodła, jakby miała obrócić w niwecz żołnierski ład i skreślić zdobyte przed generałem piątki: tę za salutowanie i maszerowanie, tę za padanie i za spocznij, a najbardziej już tę za baczność.

Aż mu z tych pogrózek pięściami, z tego tupania wykluło się jedno słowo, powtarzane w kółko: Śmierć! Śmierć!

Na pewno tylko wroga najgorszego miał żołnierz na myśli, ale zamarło wszystko dokoła – jakby zatrzymał tym słowem serce wszystkiego, co żywe.

Jakby przestał oddychać park cały i staw, i olchy, i drzemiące na gałęziach ptaki.

– No, co? – zawołał żołnierz zaczepnie.

Wówczas echo, ożywione podmuchem wiatru, który widać nie zamarł tam w dali, przyniosło gołębie gruchanie:

*Nie szukaj wrogów wokóło,  
twoje serce gołąb złoty, złoty gołąb.  
Niech się nie trwoży darmo.  
Daj mu ciszy ziarno jedno, jedno ziarno...*

\* \* \*

Jakie tam gołębie serce!

Jeżeli już serce – choć nie przewiduje go regulamin – to lwie! tygrysie! stalowe! Co za pomysł: serce jak złoty gołąb! Jakże mógłby w piersi, niby w klatce, trzymać wątłego gołębia taki wojak. Taki! Wojak!

Taki wrogom nie wybacza. Wygrzebie ich spod ziemi, choćby ojczyste nawet. Odszuka najprawdziwszego z nich – i zabije.

Patrzcie no, jaki zuch! Nogami takt wybija w marszu – i raz! i dwa, i raz! Piękny jak malowanie, wesół jak piosenka o wojnie: na wroga! cel! pal! bumtara-ra!

Już wie, gdzie ma szukać nieprzyjaciela, jak za jednym zamachem pozbyć się najgorszego, uszczęśliwić swój kraj, ocalić go na lata całe od wojny. Żeby nikt już nigdy nie patrzył co dnia na krzyczące litery:

Precz z Bramburą Sto Piątym! Precz z Bramburakami!

Jeśli niechybna kula nie uznała Brambury za wroga, to czemu komandor główny armię przeciw Sto Piątemu podjudza? Czy chce uwagę odwrócić od prawdziwszych wrogów, zmarnować amunicję, wojsko wytracić, takie wojsko? Takie! Wojsko!

Oto niechybny cel dla złotej kuli. Wróg w samym środku rodzinnego kraju, robak w pestce rumianego jabłka. Precz z robakiem!

Idzie żołnierz po lśniącej posadzce, między rzędami wysokich drzwi, idzie odbijając się w dziesiątkach luster – i raz! i drugi! i trzeci! i dziesiąty! Już jest go cała armia! Kto go teraz cofnie, kto powstrzyma?

W komandorskiej jadalni, przy długim, czarnym stole, między ścianami kryształowymi, siedzi komandor główny nad srebrnym talerzem. Właśnie lokaj przyniósł twaróg i śmietaną i pyta:

– Pomieszać ze szczypiorem, czy sam ekscelencja raczy?

– A idźże ty! – powiada komandor główny. – Chcesz mnie całkiem pracy rąk pozbawić?

I polewa świeży szczypior śmietaną. A w kryształowych lustrach tylu komandorów, tyle srebrnych talerzy z twarogiem, ze szczypiorem, że aż

zapachniało żołnierzowi cebulką siedmiolatką, co tam w rodzinnym ogródku właśnie zielone wąsy wypuściła. Spojrzał zza drzwi na komandora głównego i wieś swoją i ojca sobie przypomniał. Nie na wroga wyglądał komandor: na człowieka. Nie na ruchomy cel: na stworzenie z krwi i kości.

– To wróg! – powtórzył sobie szeptem żołnierz, aby tylko nie dać się zwieść tej ludzkiej zwyczajności.

Wyściubił pistolet zza framugi i strzelił.

Kula, wirując jak trzmiel i bzykając, odbiła się od komandora głównego, krzywdy mu nie zrobiwszy, i na powrót leciała ku żołnierzowi, aż na koniec z trzaskiem wpadła do lufy.

Komandor główny siedzi z chlebem w pół drogi do ust zatrzymanym, z gębą otwartą. Nagle jak nie porwie się z krzesła, jak nie wytknie żołnierza palcem wskazującym, jak nie wrzaśnie:

– Brać go!

A żołnierz całkiem w ziemię wrósł i powtarza:

– Przeklęta gołąbko, oszukałaś mnie... Oszukałaś... Coś zastukało o szyby, jakby grad leciał z nieba. Spadła na jadalnię komandora ciemność, jak podczas najsrozszej burzy. Ale to nie burza zamroczyła komnatę, tylko pióra gołębie. I latający kobierzec ptasi wyniósł żołnierza przez okno – nad pałac, nad aleję, nad śródmieście, aż do parku miejskiego, na brzeg stawu, gdzie na gałęzi olchy srebrzyła się w pełnym słońcu gołąbica.

– Wdzięczna ci jestem – zagruchała. – Wdzięczna ci jestem za gołębie serce. Znów ocaliłeś wroga przed kulą niechybną.

– Kpisz ze mnie, jędzo skrzydlata. Twoja kula nie zda się na nic.

– Czyś widział kiedy matkę, co by kpiną za pisklątko swoje odpłacała? Znam ja twoje gołębie serce. Ono ci odpowiedziało, że to nie był twój najprawdziwszy wróg.

– Już bym nie miał kogo pytać, tylko serca! – rozgniewał się żołnierz na dobre. – Jeśli nawet je kto ma nieregulaminowo, to gdzież by je stojąc przed wrogiem posłyszał! E tam!

Mówiąc to machnął zamasyście ręką, aż stado gołębi frunęło pod niebo i uleciało, zostawiając po sobie nikłe echo gruchania:

*Nie szukaj wrogów wokóło.*

*Serce twoje gołąb złoty, złoty gołąb...*

\* \* \*

Sam teraz siedzi nad stawem.

Ziemia pachnie, jakby kto młody szczypior świeżą śmietaną polał, myśli podsuwa zielone, czarnoziemne. Już prawie ojca, prawie matkę żołnierz sobie wspominał. Już jego odbicie w stawie nie takie dziarskie, jak bywało.

Myśli żołnierz o trawie soczystej, co rośnie pod czarnym dębem – i o księciu

Bramburze Sto Piątym, jak jechał na karym wierzchowcu, bliski niczym starszy brat. O cebulce ze wsi rodzinnej myśli – i o komandorze głównym, jak pochylał się nad srebrnym talerzem, uśmiechnięty spokojnie niczym ojciec.

Tuż nad wodą się pochylił, widzi, jak mu piękności żołnierskiej ubywa. Sam sobie spogląda w oczy. Wie, kto mu najgorszym wrogiem. Kto mu ciągle podpowiada złą nienawiść. Kto dwa razy o mało go nie uczynił mordercą. Któż by, jeśli nie on sam! On, żołnierz. Taki żołnierz!

– Do trzech razy sztuka. Na wroga, kulo niechybna! Huknął strzał, zapachniał proch spalony, złota kula odskoczyła od piersi żołnierza i szerokim łukiem poleciała do wody – tam właśnie, gdzie złociła się wieczorem pierwsza gwiazda, gdzie zawisnąć miał medal za dzielność.

– Przeklęta gołąbko – szepnął żołnierz. – Przecież ten wróg był na pewno prawdziwy!

Czuł dziwne trzepotanie pod mundurową bluzą z czerwonymi wyłogami. Mdlejącymi palcami szarpnął srebrne pętlice – i uwolnił z piersi serce, które złotym gołębkiem wzbiło się lekko nad staw, lecąc coraz wyżej i radośniej, jaśniej w słońcu jak odnaleziona pisklę gołębicy.

Co w nim żywe było, przetrwało: serce jak złoty gołąb.

## NAJSTRASZLIWSZY SMOK

W jednej stolicy jednego kraju, w jednym małym domku na przedmieściu żył sobie cichutki, niewidoczny pastuszek. I bardzo dobrze! Bo gdyby go tam nie było albo gdyby nie był taki, jaki był, ta historia źle by się skończyła – a gdyby się skończyła źle, nie mogłaby wcale być bajką.

A co warte są bajki, których wcale nie ma!

\* \* \*

W tej stolicy tego kraju panowało wielkie przerażenie. Król panował tam również.

Ale co wart najprawdziwszy nawet król, jeżeli nie panuje zupełnie sam!

Król panował na zamku otoczonym grubymi murami i wysokimi basztami. Jedni mówili, że ten mur to z kamienia, inni – że ze zwykłego strachu.

A przerażenie panowało w całym kraju. Bo cały kraj myślał tylko o tym, że w wąwozie za miastem kryje się najstraszliwszy smok. Najstraszliwszy – gdyż nie wiadomo, jaki jest, wiadomo zaś o nim to jedno: że JEST. A co wart kraj, który boi się nie wiadomo czego!

\* \* \*

Pastuszek nie bał się tak jak inni. Może dlatego, że dzięki smokowi miał ważne zadanie: codziennie chodził na pagórek za miastem i liczył owieczki. Robił to nie po to, żeby wiedzieć, ile ma owiec – wiedział przecież dokładnie. Robił to, żeby nie wyjść z wprawy. Bo musiał też liczyć ofiary najstraszliwszego smoka. Gdyby zaś zapomniał rachunków, mogłoby mu zabraknąć palców. Albo mógłby się pomylić w jakiś inny niemądry sposób.

Nikt nie zbliżał się do smoczego wąwozu tak, jak pastuszek. A on był tak blisko, że mógłby dokładnie obejrzeć smoka, gdyby go zobaczył. Nie widywał go jednak nigdy. Mimo to można było pastuszkę uważać za najodważniejszego w kraju.

Co warta jednak odwaga, gdy należy do cichutkiego, niewidocznego pastuszka!

\* \*

Owe ofiary najstraszliwszego smoka pastuszek liczył dla samego

najjaśniejszego króla. Co sobotę chodził na zamek i mówił strażnikowi: pięć! Albo: siedem! Strażnik zaś wołał to samo do drugiego strażnika, drugi do trzeciego, trzeci do czwartego, aż cały dwór królewski rozbrzmiewał tymi pokrzykiwaniami. Wówczas i królowi, i wszystkim dworzanom łydki zaczynały dygotać ze strachu.

Król to król, sprawa osobna. Ale co wart jest dworzanin, któremu...

\*

Pięć czy siedem, czy nawet osiem – to znaczyło, że najstraszliwszy smok zjadł od poniedziałku do soboty pięć albo siedem, albo nawet osiem dziewczyn ze stolicy. Mówiono, że jest wprawdzie niewiadomy, lecz za to łakomy. Że jada wyłącznie młodziutkie dziewczęta ze stolicy, bo te ze wsi lub z mniejszych miast uważa za niestrawne, prowincjonalne gąski. Co dzień wyprowadzano za rogatki zapłakane ofiary, które nie miały już nigdy wrócić – i nie wracały nigdy! Pastuszek widział tylko, jak znikają w smoczym wąwozie. W ten sposób mógł ze swojego pagórka dokonywać obliczeń. Później wracał do baranów, których, na szczęście, smok nie jadał – nie lubił ponoć baraniny.

Właściwie tylko pastuszek mógł być beztroski i nawet zadowolony, gdyż miał ważne zadanie, nie miał za to siostry ani kuzynki, ani narzeczonej. Mimo to właśnie pastuszek pewnego dnia postanowił...

Lecz nie zdradzajmy z góry dalszego ciągu. Co wart ciąg dalszy, jeśli jest bliższy.

\* \* \*

Poza pastuszkim nikt nie miał szczególnego powodu do zadowolenia. W każdej rodzinie były młodziutkie córki, siostry, kuzynki – i wiele rodzin nosiło żalobę po dziewczętach, które nie wróciły ze smoczego wąwozu. Płacz i lament wisiały nad stolicą i zamkiem królewskim, jak śpiew skowronków nad pobliskim wąwozem. Chwilami skowronki milkły, a wówczas ludzie szeptali: to on! to smok! biada nam, biada! Jeśli nie będziemy w porę składali mu nowych ofiar...

Najstraszliwsze było jednak to, że smok tak zręcznie ukrywał się przed ludzkim wzrokiem. Od czasu do czasu próbowano wypatrzeć go z wieży zamkowej, ale poza srebrnym i błękitnym migotem nigdy niczego nie widziano. Jedni mówili, że to rzeka błyszczący, lecz inni wiedzieli, że to smok. Czasem widać było z murów kłębiący się mleczny dym. Jedni mówili, że to bagno dymi, lecz inni wiedzieli, że to smok. Rzeka! Bagno! Zawsze i wszędzie znajdują się jakieś niedowiarki!

Żeby choć im było wiadomo, jakie jest to, w co nie wierzą!

Jak w coś wierzysz, dowodu ci nie potrzeba. Ale co warta niewiara bez dowodu!

\* \* \*

Parę razy próbowano to niewiadome otruć, wpuszczając do rzeki pomyje i resztki z królewskiej kuchni. Musiało jednak mieć zdrowy żołądek. Ustawiono na murach ogromną armatę, która ze spiżowym hukiem miotała na wąż kule kamienne. Ale zgrzytowi działa odpowiadało jedynie dziwne chlupnięcie. Powiadano więc, że to smok mlaszcze, łykając kulę większą od głowy niemowlęcia. Po dniach czekano w trwodze na nagły atak smoka, po nocach zamykano drzwi na wszystkie spusty, a ulicami krążyła straż. Co niedzielę specjalna armia przeciwsmocza ze śpiewem i biciem w bębny obchodziła mury zamkowe, przeciągała przez całe miasto i przedmieścia. Wojacy tupali głośno i strzelali w powietrze na postrach albo wykrzykiwali chórem przeciwsmocze hasła. Co z tego! Znad smoczego wążu nadal buchały dymy, migotania srebrne i błękitne, nagłe cisze skowronków w upalne dni. Wypychano więc za rogatki następne dziewczęta, drząc przed odwetem smoka, bo z zemsty za pogróżki użyć mógł przeciwko stolicy, ba, przeciw całemu krajowi nieznannej smoczey broni... Trapił się tym król, radzili nad tym rajcowie, lecz rady żadnej nie wymyślili.

A cóż warta rada nie wymyślona...

\* \* \*

Trapił się król najjaśniejszy także królewską swą córką. O, nie dlatego, że mogła być smacznym kąskiem dla smoka: królowny wypycha się zwykle za rogatki dopiero wówczas, gdy nie ma już innych ofiar. Król trapił się ma już innych ofiar. Król trapił się dlatego, że nie wiedział, jak królownie znaleźć męża. Wprawdzie królestwo było niebrzydkie, ziemia tłusta, poddani jednomyślni (jak zdarza się to zazwyczaj, kiedy postraszyć ich smokiem), lecz kto chciałby władać krajem, w którym panuje strach?

Więc choć król miał na wydaniu córkę, wcale nie miał córki na wydaniu.

\* \* \*

Ale miał król najjaśniejszy pastuszka. Mieć zaś niewidocznego, cichutkiego pastuszka, który tak jest przy tym odważny, że pewnego dnia postanowi coś, o czym jeszcze nie powiemy, by nie zdradzić dalszego ciągu – to już dużo. I to bardzo dobrze!

Pastuszek powziął postanowienie podczas jednej z bezsennych nocy. Od dawna sypiał źle. Kręcił się co noc i wiercił na swoim skromnym pościu, przewracał się z boku na bok i nic. A to dlatego, że zasnąć można, jeśli się liczy owieczki – on zaś zwykł to robić cały dzień, codziennie, nie licząc liczenia dziewczątek dla smoka, przy czym uważać musiał, żeby się nie zdrzemnąć. Wieczorem więc, rozbudzony liczeniem na dobre, wstawał ze skromnego

posłania i wychodził na nocną przechadzkę.

Ulicą chodzili tam sami strażnicy, uzbrojeni po zęby – bladzi i wycieńczeni, ale ogromnie czujni. Pastuszek zaczął kłócić z nich i częstując go owczym serkiem pytał:

– Panie, jak wygląda ten... no, wie pan... Ten, co go nikt nigdy nie widział?

A strażnik odpowiadał:

– Panie, wielki jak góra i niebieski w czerwone pasy. I straszliwy.

A inny mówił:

– Panie, płaski jak flądra i ma sto łap, zakończonych szponami. Straszliwy!

A inny jeszcze:

– Panie, długi jak węgorz i ma siedem straszliwych łbów.

– A może on jest w ogóle niewidzialny? – pytał pastuszek w zadumie. – I może to jest w nim najstraszliwsze?

– Panie, co pan? A nasza armia przeciwsmocza jest może niewidzialna? Po niej poznać, że i ten smok JEST.

Pewnie. Armia musi być widzialna. To jej najważniejsze zadanie!

\* \* \*

Tak to licząc, nie zasypiając i zadając wciąż te same pytania, cichutki i niewidoczny pastuszek doszedł pewnego dnia do wniosku, że... To znaczy postanowił, iż... Jednym słowem, nie powiedziawszy nikomu, że jego zdaniem smok jest niewidzialny, poprosił o posłuchanie u najjaśniejszego króla.

O mało się nie pośliznął wchodząc na salę tronową, bo w otwartych drzwiach balkonu mignęła mu postać królowej o długich, jasnych warkoczach. Ale złapał jakoś równowagę i powiedział:

– Najjaśniejszy panie, już pora.

– O królowej mówisz? Wiem. Co z tego. Nikt królowej nie zechce.

– O królowej, najjaśniejszy panie, też. Ale głównie o smoku. Już tysiąc dwanaście pańienek opuściło stolicę na zawsze...

– Tysiąc dwanaście, powiadasz, pastuszkule? Czyżby królowa była tysiąc trzynasta?

– E, co to, to nie. Dwutysięczna może. Tylko czy nie lepiej już teraz oddać ją temu, kto zabije smoka i ocali od niego nasz kraj? Będzie wilk syty i owca sprzedana.

– Mądryś ty, pastuszkule, kiedy o owce idzie. Ale gdzie znajdziesz bohatera?

– Może bym i znalazł, najjaśniejszy królu, jakbyś za smoka obiecał królowę i choć z połowę królestwa.

Niewysoka to była cena dla króla, co już dawno w połowie tylko władał swoim krajem, a królowę wydać chciał za męża czym prędzej.

– A niech tam – powiada. – Szukaj bohatera. A ja heroldom każę roztrąbić wieść o nagrodzie. I rzeźbiarzom rozkażę kuć cokół pod pomnik zwycięzcy smoka.



Wnet rozległy się w chłodnym, jesiennym już powietrzu, cierpkie wołania trąbek i dzwony młotów i dłut, wykuwających w marmurze wielki napis: BOHATER.

Co to za bohater, jak jeszcze posagu nie ma!

Lecz tam, gdzie cokolwiek gotowy, gdzie czeka pół królestwa, gdzie znajdzie się królowna w nagrodę, tam i bohater znaleźć się musi.

Co dnia inny kawaler przybywa w konkury na pysznym rumaku, w kapeluszu z piórami. A to strojniś w jedwabiach, a to rycerz w złocistej zbroi, a to poeta w pelerynie koloru dzikiego wina. Ach, jacyż oni widoczni, jacy znaczni, jacy przepyszni! Co jeden – to bardziej oczy ciągnie ku sobie. A królowna każdego żegna, chustką machając z balkonu i liczko zarumienione warkoczem przesłaniając. A później oplakuje, gdy żaden z wyprawy na smoka nie wraca.

Cóż to za narzeczony, co nigdy już nie powróci...

\* \* \*

Minęło ich ze czterdziestu, jesień przeszła, poczuł biedny pastuszek, że trudno mu na palcach marznących liczyć owce, bohaterów i dziewczęta. Wreszcie pewnego ranka spadł śnieg jak sucha, drobna kaszka i pastuszek na obcasach trepów naniósł go sporo do tronowej sali.

O mało też nie pojechał na piętach, kiedy obejrzał się na królownę, która, ogromnie zasmucona, stała w otwartych drzwiach balkonu.

– Nie czekaj, jaśnie królowno – powiedział. – Skończyli się królewicze. Dobrze liczyłem, jakem pastuszek. Teraz przychodzę ja.

Królowna otworzyła usta, lecz nie krzyknęła, przygryzła tylko koniec jasnego warkocza i uciekła.

– Nie jestem z ciebie zadowolony, pastusku – powiedział najjaśniejszy król. – Oto dlaczego pastuchów nie można dopuszczać do rządów. Miałeś znaleźć bohatera i jakoś nie potrafisz...

– Panie, to bohaterowie nie umieli znaleźć sobie smoka. Ja go znajdę, królu najjaśniejszy.

– Ty chcesz zwyciężyć smoka? Ty, cichutki, niewidoczny pastuszek?

– Smok też niewidoczny, królu najjaśniejszy. Tylko ktoś niewidzialny potrafi go ujrzyć i przerazić.

– Jak to: niewidzialny może kogoś przestraszyć? – oburzył się król. – Ejże, pastusku! Zginiesz przez takie zuchwalstwo!

Ale pozwolił pastuszkowi iść i zginąć. Cóż by to był za król, który oszczędzałby pastuszków!

\* \* \*

Tak oto cichutki, niewidoczny pastuszek poszedł na bój z najstraszliwszym

smokiem.

A królowna we łzach na zamkowym balkonie. Płacze, że już tylko cichutki pastuszek jej został. Płacze, że może nawet i ten jej nie zostanie.

Tłum ogromny zebrał się na podzamczu. Hałasuje wokół pustego cokołu, w trąbki dmie, w bębny wali jak na prawdziwym meczu, choć tam niby toczy się jedynie walka człowieka ze smokiem. Niektórzy na dachy wchodzą, na wieżę kościelną, na zamkowe baszty – lecz nie widać od wąwozu nic oprócz zwykłych dymów mlecznych, prócz srebrnego i błękitnego migotania.

Dzień na przedzimię krótki. Słońce chyli się coraz niżej, przenikliwy chłód kości dojmuje, już i czerwone płomyki zachodu biegają po oszronionych dachach. Aż zapadło się słońce miedzianym talerzem za domy i w tejże chwili jakby w nie kto pięścią uderzył, taki łomot rozległ się od miejskiej bramy.

– Wraca! Zwycięzca wraca! – krzyczą mieszczanie.

I ręce składają do oklasków. Nawet król wybiegł na balkon, odsunął na bok królownę i krzyczy:

– Gdzie bohater? Dawać tu bohatera!

Rozstąpiły się tłumy i oto środkiem głównej ulicy wkracza do miasta dostojne stado pastuszkowych owieczek z baranami na czele. Ale pastuch gdzie? Nie widać pastuszka. Widać same owce bez bohatera.

– On tu jest! – woła król. – Jest niewidzialny! Niech żyje niewidzialny bohater!

Zerwały się gromkie oklaski. Bo co warte zwycięstwo, jak nie ma komu klaskać?

\* \* \*

A zwycięzca, cichutki i niewidoczny, wśliznął się wejściem kuchennym na zamek. Usiadł w sali tronowej na stołeczku, przy piecu, żeby ogrzać zmarznięte dłonie.

„Niech tam klaszczą baranom – myślał. – Przecież to ich zasługa. Gdybym ich nie pasał, nie byłbym cichym pastuszkiem. A tylko cichutki ktoś i niewidoczny mógł pokonać najstraszliwsze, bo niewidzialne. Nikt znaczny i pyszny nie przyznałby się, że smoka nie widział na oczy.”

\* \* \*

– Najstraszliwsza jest walka z niewidzialnym – rzekł pastuszek do króla. – Należy mi się więc najjaśniejsza królowna i pół najjaśniejszego królestwa.

I ucałował jeden z najjaśniejszych warkoczy królowny.

I żył długo, cichutko i szczęśliwie. Starał się żyć niewidocznie – częściej więc pasał owieczki za miastem, niż przesiadywał na swojej połowie tronu.

A poddani zapomnieli o najstraszliwszym, bo niewidzialnym smoku i bardzo byli zadowoleni, że mieszkają w najlepszym z krajów. Najlepszym chociażby

dlatego, że na cokole w środku stolicy stał niewidzialny bohater – najtrwalszy bohater na całym świecie.

Bo jaka wojna zrzucić może z cokołu pomnik, którego wcale nie ma?

## CHCĘ BYĆ ŻOŁNIERZEM

O! Gwiazda!

O! Spada!

Mów prędko, czego chcesz. Prędko, nim spadnie gwiazda.

Spadła. Uderzyła o mech na leśnej polanie. Rozprysnęła się na drobne okruszki.

Ale jeden chłopiec zdążył prędko powiedzieć:

– Chcę być żołnierzem.

A gwiazda powtórzyła tylko za tym chłopcem:

– Chcę być żołnierzem.

Zaraz potem uderzyła o mech. Zaraz potem zmieniła się na drobne okruszki. Okruszki migotały chwilę i gasły jeden po drugim.

Ale był między okruszkami okruszek, który płonął i płonął. Tlił się. Rozjarzał. Znowu przygasał. Mrugał. Jak mała osobna gwiazdeczka. Albo iskierka, rozniecana przez wiatr.

– Co za okropny wiatr! – powiedziała leśna sowa do leśnego nietoperza. – Widzisz? Zrywa gwiazdy z nieba.

– Też mi gwiazda! – pisnął nietoperz leśny. – Chciałoby to być gwiazdą.

– Nie chcę być gwiazdą! – zawołał okruszek. – Chcę być żołnierzem!

Bo zapamiętał sobie tylko to, co posłyszał spadając. To, co powtórzył za chłopcem.

– Też mi żołnierz – pisnął nietoperz. – Zapala się i gaśnie, zapala i gaśnie.

– Tak właśnie bywa z żołnierzami – powiedziała sowa. – Zapalają się i gasną, zapalają i gasną.

I sowa odleciała. Nie mogła wymyślić nic mądrzejszego, więc odleciała i już.

– A jeśli tak, to ćwicz – pisnął leśny nietoperz. – Zapalaj się i gaśnij, zapalaj i gaśnij. Jak żołnierz. I raz, i dwa.

Tak piszczał i krążył nad okruszkiem, i machał mocno skrzydłami, żeby jeszcze bardziej rozniecić iskierkę. A okruszek zapalał się i gasł, zapalał i gasł. I myślał, że już jest żołnierzem.

A to było nie to, a to było nie tak.

*Nie to, nie tak, inaczej właśnie,  
niż mówią o tym inne baśnie,  
a to nie tak, a to nie to:  
nie ten żołnierzem bywa, kto  
zapala się i gaśnie.*

*Ta bajka co innego znaczy,  
niż to, co w innych jest inaczej  
o co innego tutaj szło,  
nie tak to było i nie to,  
nie to, nie tak, nie to...*

\* \* \*

Borem, lasem szedł sobie żołnierz-tułacz. Szedł powolutku, bo to noc była ciemna, a on miał tylko jedną spiesznią nogę, a tę drugą niespieszną: drewnianą. Ostrożnie mijał korzenie i kępy leśnej trawy. Ale szedł, bo był głodny. Bardzo się ucieszył, kiedy zobaczył mrugające światełko.

– Ognisko! – zawołał. – Pewnie Cyganie palą ogień w lesie. Pewnie dadzą mi okruszynę chleba.

I spieszniej pokuśtykał na niespiesznej drewnianej nodze. Aż dokuśtykał tam, gdzie okruszek gwiazdy rozjarzał się i gasnął, rozjarzał i gasnął.

– Ejże, jak mi patrol matka – mruknął tułacz. – To przecież właśnie okruszyna chleba. Aż mi z głodu w oczach się mieni.

Po czym chwycił do ręki gwiazdny okruszek.

– Puść! Nie chcę być chlebem! – zawołał okruszek.

I wyskoczył z ręki żołnierza na mech.

– Ejże, toś ty przekora – roześmiał się żołnierz-tułacz. – Pewnie, że na chleb za twardeś. Ale na kamyk znowu za skocznyś.

– Nie chcę być chlebem, nie chcę być kamykiem! Chcę być żołnierzem! – wrzasnęła okruszyna, bo to jedno przychodziło jej do twardej skorupy. – I raz, i dwa, i raz, i dwa.

Zapalała się przy tym i gasła: i raz, i dwa, i raz, i dwa – chociaż leśny nietoperz dawno już odleciał, bo nie lubił za dużego towarzystwa.

– Chcesz być żołnierzem? – zawołał tułacz. – Dzielnie, mój mały, dzielnie! A to stawaj do musztry. Baaaczność!

Okruszek podskoczył i stanął na baczność.

– Naprzód marsz! Lewa, lewa! I raz, i dwa, i trzy, i cztery!

Ruszyli obaj: żołnierz-tułacz i gwiazdny okruszek. Tułacz na nie spiesznej drewnianej nodze. Okruszek na dwóch odnózkach gwiazdnych, co jak mogły, uchodziły za nogi żołnierskie.

Szli borem, lasem, lasem, borem – aż bór przetał się i wyrzało pole, aż noc się przetała i wyrzał poranek. Wtedy żołnierz-tułacz obejrzał się na żołnierza-okruszynę.

– Ejże, jak mi patrol matka! Nagiś ty, żołnierzyku, niby dżdżownica w deszcz. Przydałby ci się mundur. Nasz mundur, swojacki!

I owinał okruszynę w swoją starą onucę, co już jego nodze drewnianej z dawna nie była potrzebna. A na sam czubek gwiazdnego kamyka nasadził, niczym hełm jaki, żołądną skorupkę.

A właśnie wstało słońce.

*Słońce okrągłe jak bęben  
potoczyło się nad brzozą, nad dębem,  
nad wierzbiną, olszyną, nad kępą sosenek –  
słońce jak wojskowy bębenek.*

Zabębniły promyki o swojacką onucę, ozłociły mundur swojacki. I okruszek pomyślał, że już stało się, czego chciał. Że już jest żołnierzem.

A to było nie to, a to było nie tak.

*Nie to, nie tak, inaczej właśnie,  
niż mówią o tym inne baśnie.  
Choćbyś miał mundur jak się patrzy,  
nie tak to bywa, lecz inaczej –  
nie to, nie tak, nie to...*

\* \* \*

Powędrowali skrajem pola i łąki. Okruszek zapalał się i gasł, ile tylko miał sił. dzielnie płonął, po żołniersku. Dziwił się trochę, że tułacz ani świeci, ani przygasa, chociaż mężnie kuśtyka raz i dwa.

– Co z ciebie za żołnierz? – zapytał wreszcie. – Dlaczego nie zapalasz się i nie gaśniesz na raz i dwa, raz i dwa?

– Bywało, zdarzało się, płonąłem i gasłem – westchnął tułacz. – Ale teraz płonąłbym już tylko na tę jedną nogę.

– A gdzie druga?

– W boju ustrzelona.

– Ustrzelona? Tak na zawsze?

– Na zawsze tak – powtórzył tułacz.

– Ustrzelona... Straszna to musi być rzecz: strzelanie.

– Straszna? Przecież mundur masz ze strzelania! Gdyby nie noga ustrzelona, nie dostałbyś zbytecznej onucy... Ze strzelania żołnierz, z żołnierza strzelanie. Co tam, jak mi patrol matka!

Już i wieś przybliżyła się do nich pianiem koguta, dachami czerwonymi, żółtymi słonecznikami. Żołnierz-tułacz uśmiechnął się i obejrzał na żołnierza-okruszynę.

– Wieś – powiedział – to chleb. Dobry, wypieczony bochenek dla swoich żołnierzy.

– A czy my swoi?

– Pewnie. Jak z tej ziemi, to swoi.

– Ale ja jestem nie z tej ziemi. Więc ja swój czy nie swój?

Żołnierz-tułacz podrapał się w głowę.

– Czekaj no, czekaj, przekoro... Ejże, jak mi patrol matka! Swój! Swój, bo mundur masz z mojej onucy, swojacki! Toś ty swój żołnierz.

Kobieta, co stała w słonecznikach za płotkiem, wyszła za furkę.

– A co to za żołnierz taki maluteńki? Swój czy zagraniczny jakiś?

– Jakże! Mundur ma przecież nasz, to i żołnierz nasz, gospodyni.

Wyniosła im przed chałupę garnek, pełen zsiadłego mleka, wyniosła dwie miski.

– A to siadźcie na progu, jedzcie, pijcie.

Usiedli na progu wśród słoneczników – i słońce nad nimi jak słonecznik.

*Toczy się słońce i błyska,  
złotym ziarenkiem odbija się w miskach.  
Toczy się, doszło do nieba połowy –  
słońce, bębenek wojskowy.*

Wypili, podziękowali. Dostali na drogę dobry, wypieczony bochenek chleba. Poszli dalej, kuśtykając i postukując tym, co od biedy uchodziło za nogi: żołnierz-tułacz drewnianym, okruszek dwiema gwiazdnymi odnózkami. I raz, i dwa, i raz, i dwa. Rozjarzał się okruszek i gasnął – i myślał przy tym, że jest i żołnierzem, i swoim żołnierzem. Bo przecież miał mundur z onucy i chleb z tutejszej wsi. Pewien był siebie i pewien swojactwa.

A to było nie to, a to było nie tak.

*Nie to, nie tak, inaczej właśnie,  
niż mówią o tym inne baśnie.  
Choć chleb coś znaczy i odzienie,  
przecież w tej bajce jest odmiennie  
nie to, nie tak, nie to.*

\* \* \*

Tak idąc, dokuśtykali na wysoki pagór. I tutaj dogonił ich wiatr, a w tym wietrze dalekie wołanie – jakby kogut ich przyzywał, jakby wieś zawracała ich z drogi.

– Trzeba wracać! – zawołał okruszek. – Trzeba wracać, nie słyszysz, żołnierzu?

Ale nad wsią wisiała ogromna chmura. Grzmiało w tej chmurze i błyskało, aż okruszek gwiazdny zląkł się nie na żarty, chociaż tak był pewien, że jest żołnierzem.

– Co to? Co się stało? Nie ma wsi! Jest chmura... Czy to burza, tułaczu?

Ale tułacz nie bał się wcale. Uśmiechał się nawet i nucił coś o wojence, wojence, co to za pani... Wiedział, że to nie żadna burza, o nie.

– To wojna, okruszku! To żołnierze.

– Żołnierze! – zawołał uradowany okruszek. – Zaraz do nich przystanę. Chcę być żołnierzem.

I pobiegł z powrotem w stronę wsi, a tułacz pokuśtykał za nim jak mógł najspieszniej na niespiesznej drewnianej nodze.

Ale wieś nie przybliżyła się do nich czerwienią dachów ani złotem stogów, ani pianiem koguta. Wieś nie spojrzała już na nich oczami słoneczników. Wieś była cicha i pusta. Nad obalonymi płotami sterczały zwęglone badyle. Zamiast czerwonych dachów czerniły się spalone kominy. Wiatr kołysał drzwiami pustych domów. Nie było garnka z mlekiem. Nie było kobiety, stojącej w słonecznikach z bochenkiem chleba. Nikogo, nikogo.

*Spalone, spalone stogi,  
zwalone dachy, szerniałe progi,  
kogut nie pieje, chleb nie czeka,  
słońce nie tańczy w misce mleka.*

– Oszukałeś mnie! – krzyknął okruszek. – To nie byli żołnierze. To była burza.

Tułacz usiadł na kamieniu i opuścił głowę.

– To byli żołnierze, mój mały – powiedział. – To byli nie swoi żołnierze. Obcy. To było wielkie, nie swoje strzelanie.

– Straszna to rzecz: strzelanie – szepnął okruszek. – Żołnierze... Więc nie tylko idą w nogę i raz, i dwa? Nie tylko stoją na baczność? Nie tylko zapalają się i gasną? Żołnierze strzelają do słoneczników i do czerwonych dachów! Wiem: to są ci, co nie mają swojackich mundurów.

I znowu ruszył przed siebie i raz, i dwa – i rozjarzał się, i gasł, bardzo zadowolony, że jest innym, swojackim żołnierzem, nie obcym.

A to było nie to, a to było nie tak.

*O co innego tutaj szło,  
nie tak to było i nie to.  
Ta bajka co innego znaczy,  
niż to, co w innych jest inaczej –  
nie to, nie tak, nie to.*

\* \* \*

Spieszno było okruszkowi przystać do jakiejś swojackiej kompanii, ale już słońce stoczyło się nisko, wnet miało schować się w strumieniu. Więc tułacz, co ledwie kuśtykał ze zmęczenia, napomknął coś o znalezieniu noclegu, nim zapadną ciemności.

*Osuwał się bębenek słońca,*



*już o wikliny niskie trącał,  
żaby obudził po strumykach,  
komarza grała im muzyka –  
to wieczór kumkał, wieczór bzykał...*

Położyli się obaj na miedzy pod żywopłotem z tarniny. Tułacz wyjął z tobołka piękny, myśliwski nóż. Odkrajał nim dwie kromki chleba: wielką pajdę i małą skibkę.

– Nie możesz skąpić sobie jada – powiedział okruszek. – Wiem, żeś ty już nie żołnierz, a ja żołnierz niebawem. Ale tyś większy przecie, to i głodniejszy.

– Patrzajcie go, malucha! – zawołał tułacz. – Myślał, że pajda dla niego, jak mi patrol matka. Jeszcześ ty nie żołnierz, okruszyno. Strzelby nie masz.

– Do czego strzelby?

– Do strzelania.

– Ejże, straszna to rzecz: strzelanie. Przecie wieś widziałem. Widzę twoją nogę drewnianą. Nie chcę strzelby.

– Nie chcesz? A jak wroga przed sobą zobaczysz? Patrz no, przeciw komu zapalasz się na raz i dwa!

I tułacz rozchylił kolczaste gałęzie tarniny, co rosła nad miedzą. A przez te ciernie i gałązki okruszek zobaczył niedaleki strumyk i pływające się w wodzie konie.

– Konie! Ktoś poi konie w strumyku.

– Cicho, okruszku. To nie swoi. To obcy żołnierze.

– Obcy? Stoją w wodzie po kolana... Nogi mają, jak ty miałeś...

– Jak ja miałem, póki mi nie ustrzelili...

– Ustrzelili, bo mundur mają nie ten... Kto ma nasz mundur, strzelać nie będzie?

– Cha, cha, cóż by z niego był za żołnierz – zaśmiał się cicho tułacz. – Do czego zapalałby się i gasnął, zapalał i gasnął, jeśli nie do boju?

Błysnęło nad nimi zniecka. To przez ciemniejące pod wieczór niebo przeleciała gwiazda.

Może jakiś chłopiec powiedział prędko:

– Chcę być żołnierzem.

Może gwiazda powtórzyła za tym chłopcem:

– Chcę być żołnierzem.

I spadła po tamtej stronie żywopłotu z ciemnej tarniny, po tamtej stronie wody. A jeden jej okruch zapalał się i przygasał, zapalał i przygasał, aż podjął go z wilgotnego mchu jakiś żołnierz-tułacz, odziany w mundur nie swojacki, w mundur inny, obcy. Tak sobie myślał okruszek.

– I mogłem zostać nie swoim żołnierzem – powiedział nagle. – Bo mogłem spaść na tamtą ziemię, i to ja mogłem wtedy nogę ci ustrzelić, przyjacielu. Przyjacielu...

Rozjarzył się ostatni raz, dziwnie mocno – i zgasł na dobre. Leżał sobie na

miedzy jak zwyczajny, szary kamyk.

– Co za okropny wiatr – powiedziała leśna sowa. – Zgasił gwiazdkę z nieba.

– Ii, też mi gwiazdeczka! – pisnął nietoperz leśny. – Nie spełniła nawet życzenia.

Może za spieszne było? Może nie dopowiedziane do końca?

– Zgasł? – zdziwił się tułacz. – Przecież chciał być żołnierzem! Ejże, jak mi patrol matka! Widać ognia mu na to nie starczyło.

A to było nie to, a to było nie tak.

*Nie to, nie tak, inaczej właśnie,  
niż mówią o tym inne baśnie.  
Niby zwyczajnie – lecz na nowo,  
żeby przemyśleć to i owo,  
że to nie tak, nie o to szło.*

*Nie to,  
nie tak,  
nie to.*

## STRACH NA OPAK

Straszyć łatwo, jeżeli się chce. Dlatego tak dużo strachów na świecie.

Stracha każdy mieć może. Zwykła rzecz.

Ogrodnik też myślał, że ma.

Bo sam go sobie zrobił. Ślicznego stracha z patyków i ze słomy, ze starego worka i z dziurawej dyni. I z poobijanego wiadra.

Kijki złożył na krzyż. Wyszła z tego długa szyja i samotna noga – jedna noga, bo na co takiemu strachowi dwie. I wyszły z tego jeszcze kostropate ramiona, oburącz rozpostarte. Na szyję ogrodnik nasadził wydrążoną dynię, co szeroko rozdziawiała trzy dziury: to były obydwójce oczu i gęba od ucha, którego nie było, do drugiego niebyłego ucha. Na pustą dynię włożył ogrodnik kapelusisko z poobijanego wiadra. A na rozpostartych szeroko ramionach zawiesił wypchany słomą zgrzebny worek: ni to kapotę, ni bure cielsko, w którym się słomiana dusza kołatała.

No więc myślał, że ma stracha nie byle jakiego, stracha straszliwego. Myślał, ale strachowi nie powiedział nic – co tam będzie z byle straszylem, z byle dynią na kiju gadał! Nic nie mówiąc, zaniósł tego stracha do sadu, powiesił go na rozłożystej wiśni. Żeby chociaż rozkazał: Naprzód! Strasz! Ale i to nie.

Myślał, że ma stracha, co mu szpaki postraszy.

Ale dobrze straszysz ten, kto chce. A skąd ma wiedzieć, że chce, ten, któremu nie powiedzieli?

\* \* \*

E, co to za strach! Strach na opak.

Wiatr wiśnią chwieje, a on się śmieje. Może go łaskocze słoma, może wiadro na oczy opada, a może pajak wlaźł mu za pazuchę. Czy to wiadomo? Śmiesz go coś – i już. Chichocze, a nie straszy.

Małym szpaczkiem w to graj! Zleciały się w mig z całego sadu, wisienki skubią, aż im poczerwieniały dzioby, I zagadują:

– Ktośś ty? Ktośś ty? Ktośś ty? Dziw – dziw – dziw – dziwaku?

A strach do nich rechocze całą gębą. A bo to on wie, kim jest? Przecież mu nie powiedzieli. Nie wie. Jest – to mu dobrze.

Stare szpaki już nie takie głupie jak te żółtodzioby. Wiedzą, kim on jest, przed niejednym strachem uciekały. Ale i niegłupie, żeby to na głos wyćwierkać. Bo jak się taki dowie, że jest szpaczym postrachem, to kto wie? Jeszcze może postraszyć szpaczka. A wisienki dojrzałe, słodkie, że dziób się do nich lepi...

Zawsze wygodniej nie mówić nic, choćby się miało wyjść na nieuka.

A strach też siebie nie zanadto ciekawy. Jest kimkolwiek – to mu lekko w pustej głowie, nic do pamiętania o sobie nie ma.

Niebo nad nim różowieje jak soczysta wiśnia. Szpaki skończyły wieczerzę, pościchały, stroszą się skwapliwie do snu. Wiatr zerwał się mocniejszy, jak to o zachodzie. Targnął wiśniowym drzewem, rozkołysał je przed nocnym zasypianiem:

*... A kto zasnąć nie chce  
w wiśniowej kolebce,  
temu nieba karuzelę  
nad głową okręce.  
Niebo rozkołyszę,  
żeby księżyc wyszedł  
i przetoczył się do rana  
przez sierpniową ciszę.*

Od kołysania, od ciszy, od zapachu trawy zroszonej zakręciło się strachowi w dziurawej dyni. Zdrzemnął się, choć nie wie, że to drzemka – nie wie, bo oczu nie domknął. Jak tu domknąć dziury w wydrążonej dyni? Śpi jak zajac. Ale śpi bez potrzeby niespania – to mu dobrze.

Taki to i strach. Na opak.

\* \* \*

Wtedy zobaczył księżyc. Przez te szpary nie domkniętych oczu. Zobaczył nagle – i tak mu się wydało, że to wielka, dziurawa dynia szczyrzy na niego zęby i ślepia wybałusza. Przestraszył się strach, że strach! Szarpnął się na gałęzi, ale nie urwał ze sznurka, wyrwał się tylko z drzemki zajęczej.

A może obudziło go klaskanie? Albo ten głosik dziewczęcy, rusałczany, co nawoływał w granatową noc:

– Filonie! O, srebrny, podniebny Filonie!

To Laura, zielonkawe leśne widziadełko, szła w białej sukience przez sadek wiśniowy. Do jej świecących warkoczy zlatywały się zachwycone ćmy, sama wyglądała wśród nich jak zachwycony, uroczy motyl. Strach, co już strach poznał, ale nie znał siebie, też zachwycił się i o lęku zapomniał. Zakołatała w nim z radości słomiana dusza.

– To ja! Ja chcę być srebrnym, podniebnym Filonem! To mnie, mnie woła ta panna ćma!

– Jeszcze czego! – ofuknął go ktoś z wierzchołka wiśni. – To widziadełko, o przepraszam, ta panna Laura wzdycha do niego, patrz! do księżycy na niebie. Alboż ty srebrny? Alboś podniebny?

I na wiśniową gałąź naprzeciwko stracha zeskoczyła z góry wiewiórka.

– Nie wiem, jak wyglądam – roześmiał się strach. – Nie wiem, kim jestem, to mi dobrze, i bardzo dobrze dla tej panny. Ona nie powinna wzdychać do niego, patrz! do byle dyni. Do wyszczerzonej, wybałuszanej dyni, którą nazywasz księżycem.

– Do wyszczerzonej dyni! – parsknęła wiewiórka. – To ty nie wiesz, kim jesteś? Nie wiesz, jak wyglądasz? Przejrzyj się w moich wiewiórczych oczach, pusty łbie.

I przysunęła swój bezczelny pyszczek do strachowej gęby. A na to księżyc jakby czekał właśnie: stanął wprost nad rozłożystą wiśnią i zrobił z wiewiórczych oczek dwa okrągłe lusterka. Księżyc – jeśli tylko zechce – potrafi nieźle stracha napędzić każdemu, odważnemu nawet. A strach nie mógł być odważny: był przecież w gruncie rzeczy przepelniony strachem.

Spojrzał – i słomiana dusza skoczyła mu aż na ramię.

– Ojejejeje! – pisnęła jak przyduszona mysz.

Laura popatrzyła w górę, na koronę rozłożystej wiśni.

– O? – zawołała. – Filonie! Mój srebrny, podniebny! Więc ty zleciałeś dla mnie z wysokiego nieba? Jakiś ty śliczny w zgrzebnej kapocie i poobijanym kapelusiku! Nie odwracaj się, spójrz na mnie, srebrny mój Filonie.

Ale gdzieżby tam strach spojrzał na kogo, a zwłaszcza na urocze widziadelko, skoro na ramieniu dygotała mu spłoszona dusza, skoro już wiedział! Wiedział, że jest paskudnym straszylem, przed którym sam ma okropnego stracha.

– Och, och, nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Szarpnął się, oderwał od gałęzi, spadł na ziemię, skoczył na równy patyk i jak nie zacznie wiać na jednej nodze – jednej, której samotność odczuwał w tej chwili dotkliwie – wiać tak, jak wieje strach, kiedy go własny strach poniesie.

Prawdziwy strach.

Nie na opak.

\* \* \*

Niesie strach stracha, niesie, przyniósł na skraj miasta, pod mroczny wiadukt, po którym przelatują dudniące pociągi. Czy to przyjemnie, jak i ciemno, i dudni? Ano właśnie, strach z duszą na ramieniu wchodzi tam, gdzie najciemniej, tam, gdzie najhałaśliwiej – co będzie temu strachowi, który w nim siedzi, przyjemność robi! A i boi się sam siebie zobaczyć, siebie usłyszeć.

Siedzi na głuchym betonie, w ślepym kątku. Poobijane wiadro nasunął na oczy dziurawe, na niebyłe uszy. Nie ma go – to ani mu źle, ani dobrze.

Nawet słomiana dusza nie bardzo go w ramię uwiera. Nie ma go – to i duszy tak jakby nie było.

Ale nawet pod mostem rozwidnia się o świtanie troszeczkę. Zaraz też wypatrzyły stracha wiewiórcze oczki, z których świt robił właśnie dwa okrągłe lusterka.

– To ja. Bądźmy przyjaciółmi, nie gniewaj się na mnie.

– Co, ja, takie straszycło, mam przyjaźnić się ze śliczną wiewiórką?

– E, jestem tylko wiewiórką! Ja też bez sierści wyglądałbym jak łysa mysz. Skórka czyni wiewiórkę, a nie wiewiórek skórę. Chodź, musisz wleźć w skórę cudzą, okryjesz gołe kije i ten zgrzebny wór.

Szczeniłem tego poranka lunął deszcz na miasto, deszcz letni, rześisty, więc nikt nie zwracał uwagi na kogoś, kto wiadrem przykrył głowę, bo wiadomo: przed deszczem letnim, rześistym. Że kuśtyka ten ktoś? No to co? Czy to łatwo przeskakiwać zręcznie przez kałuże? A duszy na ramieniu to już nikt nie dojrzy, kto by tam u kogo duszy wypatrywał, kto by spoglądał na patyki oburącz sterczące, na wiewiórczy ogon, co wystaje zza pazuchy.

Jedne szpaki może by rozpoznały stracha. Ze wsi są, znają życie.

Ale o szpaki coraz trudniej w dużym mieście.

A i stracha każdy ma tutaj swojego. Na co mu cudzy jakiś strach – i to na opak?

Oj, pewnie, że strach – w wielkim mieście na wielkiej wystawie wielkiego sklepu! Strach patrzeć nawet zza szyby, jak samochody pędzą w obie strony. Strach słuchać, jak z wizgiem i świstem przelatują po szynach tramwaje. Strach spoglądać prosto w oczy gapiom, którzy oglądają manekiny w witrynie.

– Patrz pan, jaki cudak – mówi gap do gapia. – Łeb ma jak dynia i coś jakby wiadro na nim. To ci nowa moda!

– Który, który? A, ten w skórzanym paltocie do samych pięt?

A właśnie, że nie do pięt: do jednej pięty, do samotnej – bo to nie żaden manekin, tylko strach w płaszczu ze skóry. Miał wleźć w skórę cudzą, to wlaźł. Okrył gołe kije i ten zgrzebny wór, i wiewiórka za pazuchą, i słomianą duszę. Nie widać go – to mu dobrze. Już nie przestraszy nawet samego siebie.

– Faktycznie – mówi do gapia gap. – Jak dynia. I puszcza do mnie oko.

– Oko, powiadasz pan? Cwaniak! Już ja go przestraszę!

I gap parasolem o szybę – pac! Aż strach podskoczył ze strachu i potrząsnął słomianą duszą, a dusza podskoczyła na strachu i szturchnęła wiewiórkę, a wiewiórek, co właśnie przysnął na chwilę w ciepłe skórzanego płaszcza, podskoczył ze strachu i zeskoczył ze stracha.

– Rety! – wrzeszcza gapie. – Skacze! Małe! Rude! Lis! Nie! Szczur! Nie! Strach!!!

Myśli strach: rozpoznał mnie w tej cudzej skórce! I w nogi. No nie w nogi – w tę jedną, samotną, co to dobra na wiśnię, a nie do uciezki. Skoczył o tycze przez barierkę do środka sklepu, biegnie między stoiskami, mało mu dynia z karku nie zleci, a wiewiórek za nim, a sprzedawczynie za nimi.

– Łapaj! Trzymaj!

– Złodziej!

– Płaszcz z wystawy ukradł!

– Gdzie? Co? Jak? Kto? – woła kierowniczką sklepu.

Napędzili jej stracha.

Stoi strach przed kierowniczką, cały się trzęsie, patyk się pod nim ugina,

dusza na ramieniu skacze jak szalona.

– Pan chciał wynieść płaszcz – mówi kierowniczką.

– Ja?... Nie... Chciałem w nim tylko postać sobie.

– Tak? A co tak panu serce kołata? Mało ze strachu nie wyskoczy!

– Wcale nie serce! To ja! – woła wiewiórek i wyskakuje spod skórzanego płaszcza. – A płaszcz możemy oddać. W strachu taka natura, że i skóra niewiele wskóra...

– W strachu? – dziwi się kierowniczką. – To ten pan jest strachem? Prawdziwym?

– No... nie bardzo – wykręca się strach. – Niby tak... ale na opak.

– Co to znaczy? – rozgniewała się kierowniczką. – Na opak? To jest innych pan nie straszy, tylko siebie? Sobek z pana. Samolub, a nie obywatel. Wszystko dla innych, mój panie, wszystko!

– Jakże to wszystko? – dopytuje się wiewiórek. – Ten płaszcz także? Dobra jest, idziemy, strachu.

A, nie! Płaszcz skórzany zabrali, uwiązali za to stracha na srebrnym łańcuszku pod kręcącym się wiatrakiem wentylatora. Wiatr obracał strachem w kółeczko, huśtał nim i kołysał, jakby chciał postraszyć szpaczeta. Ale o szpaki coraz trudniej w dużym mieście. Trzeba straszyć ludzi, żeby nie wynosili skórzanych płaszczy.

Ale dobrze straszy ten, kto chce. A dlaczego ma chcieć ten, którego chcieć nie nauczyli?

Nie nauczyli – to mu dobrze. Nie chce i już.

Co z niego za strach! Strach na opak.

\* \* \*

Wzięli go za patyki, oburącz rozpostarte. Wzięli, rozhuśtali, wyrzucili na śmietnik: a leż sobie, ty rupieciu! Żadnego z ciebie, ale to żadnego pożytku.

Łatwo powiedzieć: leż! Trudniej uleżeć, kiedy lewą rękę przygniata połamana deska, kiedy prawa ręka uwięzła w tekturowym pudle, kiedy samotna noga, sierotka biedna, sterczy w górę jak antena – i to dobrze, że samotna, bo jakby miała towarzystwo drugiej nogi, to sterczałyby obie. Pusta głowa łysym czubkiem dyni dotyka betonu, słomiana dusza ledwie ramienia się trzyma, a wiadro już opadło, leży pod murem.

Łatwiej byłoby stać niż tak leżeć – ale jak tu się ruszyć?

Źle ze strachem. Sam jest – to mu źle. Szpaczeta wspomina, już nawet postraszyć je byłby gotów, byle wrócić do nich na rozłożystą wiśnię. I stare szpaki wspomina, i wiewióra, co się gdzieś zapodziało, i księżyc wspomina, i Laurę, zielonkawę widziadełko leśne, zachwycającą pannę, której nie postraszyłby za nic, nawet, gdyby miał za karę nigdy nie wrócić na wiśnię.

I tak myśli, że to wszystko od zachwycenia się zaczęło, bo przez ten zachwyty – przestraszył się swojej brzydoty, a przez to poznanie strachu – innych straszyć

nie lubi.

– O, nocy piękna! – westchnął. – O, Lauro, Lauro, Lauro!

– Gdybyś wezwał przyjaciela, zjawiłby się przyjaciel. Co ci jakaś tam Laura pomoże?

To wiewiórek wygramolił się z wywróconej skrzyni.

– Ty leniu! – fuczy. – Mało, że nie straszysz, jeszcze się wylegujesz? Patrzcie go, w niedzielę urodzony.

I dalejże łaskotać strachową nogę – jedną, bo drugiej nie ma – wiewiórczymi pazurkami, dalejże biegać po tej nodze strachowej z góry na dół i z dołu do góry, aż rozchichotał się strach, jakby go znów na drzewie powiesili:

– Oj, przestań, przestań, mam łaskotki w pięcie!

– Nie przestanę, aż ci w piętę pójdzie.

I poszło! Z tego łaskotania pięta fiknęła tak, że cały strach wywinął koziołka, wyrwał się spod śmieci oburącz i na równą nogę zerwał. Ale cóż! Strachowi zawsze wiatr w oczy: to z wieczornego nieba, to z wentylatora, to znów z wozu śmieciarzy. Zajechali właśnie na śmietnisko i w krzyk:

– O, strach! Strach! Gonić stracha!

Ledwie że zdążył strach wiadro na głowę wsadzić, tak musiał wiać, a śmieciarze na piętę mu następują, a za śmieciarzami gonią przechodnie, z pół miasta ruszyło się chyba, choć nie bardzo wiadomo dlaczego.

Widać tak to już jest, że ktoś krzyknie: Strach! – i już zamieszanie, choćby nikt nie wiedział, o co chodzi, choćby tylko powtarzano:

Strach!

Wtedy na gwałt potrzeba jakiegoś przebrania, byle cudzej skóry, byle innego imienia, żeby nie dać poznać po sobie ani śladu strachu, żeby nie przypominać, czego tak się boją. Więc najlepsze, co mogło strachowi się zdarzyć, to że wpadł do teatru, że chwycił z wieszaka szal i pelerynę. Już stracha po nim nie widać, ale jeszcze biegnie ciemnym korytarzem, a wiewiórek kica zziajany pod rąbkiem peleryny, aż wypadli w końcu na wielką, czarną scenę.

Kto by się stracha domyślił w tej ciemnej postaci? Teraz jest aktorem w pelerynie długiej aż do ziemi.

I po strachu.

\* \* \*

Nagle księżyc nad wiśnią! Nie, dziesięć księżyców! Dziesięć srebrnych, podniebnych reflektorów, prosto na stracha i wiewiórka, prosto w rozwarte ślepie dyni, w dwa okrągłe lusterka wiewiórcze.

– Brawo, brawo, doskonale! – woła ktoś z widowni. – Proszę wziąć kota na rękę i zaczynamy. Piosenka!

– To wcale nie jest ko... – zaczął strach.

– Śpiewajże! – przerwał mu wiewiórek. I sam wskoczył strachowi na jedno z rozpostartych oburącz ramion, obok słomianej duszy.



– Próba, próba! – pogania pan z widowni. – Co, zapomniał pan słów? „Mojej peleryny... nie chcą już...”

No! Dalej!

Więc strach zmyśla ze strachu:

*Mojej peleryny... nie chcą już gawrony...  
Bo ja w niej wyglądam jak strach wypłoszony...  
Moja peleryna to na dziurze dziurka,  
lecz jeszcze okryje stracha i wiewiórka...*

– Chyba kocurka? – woła pan z widowni. – Co to za drgawki? Aż strach!

– Niestety, tak – przyznaje strach. – To ja. Z wiśni.

I boi się okropnie, bo myśli sobie: nie udało się, zaraz mnie przegonią, zaraz mnie dogonią, zaraz mnie przestraszą albo każą straszyć innych. Ale nie! Pan z widowni podskakuje jak rozbawiona piłeczka, wbiega po schodkach na scenę, cmoka stracha w niebyłe uszy, a wiewiórka w wiewiórcze.

– Znakomicie, znakomicie! Strach zagra stracha w nowej sztuce, to będzie straszliwe, to jest, chciałem powiedzieć: to będzie jak w życiu, wypisz wymaluj strach.

– Nie, nie, nie chcę! – broni się strach. – Nie będę straszył, jeszcze się ktoś tym przejmie, ja się boję.

– Przejmie się? To właśnie sztuka! Dla sztuki nic pan zrobić nie chce? Sam się boi, a innych straszyć nie łaska? Wszystko dla sztuki, mój panie, wszystko! – woła w uniesieniu pan reżyser.

Zdjął ze stracha pelerynę, zrzucił szal, patrzy z bliska i patrzy z daleka na zgrzebny wór, na dynię, na poobijane wiadro – zachwyca się.

– Cudownie. Strach jak żywy.

Akurat! Wcale nie. Ledwo żywy ze strachu.

Myśli pan reżyser, że ma stracha, który będzie stracha odgrywał.

Ale dobrze odgrywa stracha ten, kto nie jest nim na co dzień – że tam sobie raz, od święta, strachem pobędzie, to go jeszcze nie przerazi. A jakże ma grać siebie ten, co i bez grania siebie ma dosyć?

Reżyser tupie i wrzeszczy:

– Jak nie wie pan, co grać, to niech się pan sobie przyjrzy! Dajcie tutaj lustro.

Przynieśli lustro, postawili przed strachem, a on spojrzął i zemdłał. Sam siebie przestraszył, nie zaczekał nawet na widzów.

Co to za strach! Udawać stracha nie potrafi! A przecież każdy strach troszkę udaje – żeby być strachem jak należy, nie na opak...

\* \* \*

Cucili go, szarpali, wodą polewali, wiewiórkowi kazali po nim skakać – a strach nic: leży zemdlony, ani drgnie. Jak nie strach. Jak dwa skrzyżowane kije i

worek, i pusta dynia. Zbiegli się aktorzy, mówię, że to drewno nie artysta, że drętwy gość, że worek, że kukła, lala malowana.

A malowane lale mają smutne gęby i czerwone serca z kołami w środku, jak strzelnicze tarcze, bo kto ze strzelby w sam środek trafi, ten dostaje butelkę wina w nagrodę, i strach też z nimi stoi, też ma na piersi wymalowany cel, choć jego dusza jest wyżej, na ramieniu, ale o tym nie wie ani właściciel strzelnicy, ani aktorzy, którzy go właścicielowi strzelnicy sprzedali. No a wiewiórek? Wiewiórek siedzi u stracha za pazuchą i wcale się nie odzywa – taki chytry! Dlatego właściciel strzelnicy nie zauważył wiewiórka i gniewa się tylko na stracha.

– Nowy, czemu nie śpiewasz? Słono mnie kosztowałeś, żeś ty niby z teatru. Artysta, powiadają. No to śpiewaj, artysto!

– Kiedy ja... Ja mam stracha... – jąka się strach.

– O, przepraszam! Wybierz to sobie z dyni. Wszystko tu moje, słono zapłaciłem, nie możesz mieć ani siebie, ani nikogo. Śpiewaj jak tamci, już!

I strach śpiewa z innymi malowanymi lalami:

*Stoimy tutaj jako cel.  
Publika, ty się nie wahaj.  
Weź strzelbę, nabij ją i strzel –  
strzel prosto tam, gdzie masz stracha.  
I jeszcze raz! I dwa! I sto!  
Strzelania nikt nie zabroni,  
bo trzeba trafić tego, kto  
serce ma jak na dłoni.*

Śpiewa strach – i jakoś lekko mu się robi, jakby słomiana dusza bliska była uniesienia się w powietrze: może z samego śpiewania, a może z tego, że nie ma stracha, bo stracha ma właściciel strzelnicy.

Uwolnił się strach od siebie – to mu dobrze.

– Koniec ze strachem – szepcze. – Koniec!

A klient bierze wiatrówkę, ładuje, składa się do strzału, mruży jedno oko, celuje prosto w pierś stracha – jeszcze chwila i pociągnie za spust.

Nagle coś łaskocze stracha za pazuchą, to wiewiórcza kitka, to wiewiórcze pazurki.

– Śmieję się z tego! – szepce wiewiórek. – Ja jestem kulkom po drodze! Wcale cię nie zastrzelę, wiesz?

A strach rechocze do niego całą gębą! Celują w pierś stracha – a on się śmieje! Strach na opak!

Śmieje się nie tylko dlatego, że ma łaskotki. Śmieje się, bo zdobył prawdziwego przyjaciela, który gotów za niego zginąć. Śmieje się, bo teraz już będzie bezpieczny. Śmieje się, bo nie ma czego się bać.

Aż klient się rozżłościł i rzucił wiatrówkę: co, do wariata będzie strzelał? Do

kogoś, co chichocze dynią rozdziawioną od jednego ucha niebyłego do drugiego niebyłego ucha? Strzelanie poważna zabawa, nie jakieś tym wygłupy! O butelkę wina idzie!

Właściciel strzelnicy rozwścieczył się jeszcze bardziej, chwycił strzelbę i niewiele myśląc do stracha bęc! Spudłował tuż nad ramieniem, na którym siedziała słomiana dusza, aż i od tego wstrząsu poszła strachowi w piętę, a z duszą – wszystkie łaskotki. Nie wytrzymał strach, nogą szarpnął, machnął patykami rozwartymi oburącz, wydarł się z jarmarcznej budy i chodu! Leci, jakby go strach poganiał – ale to nie strach. To uciecha, że jest strachem bez stracha. Szczęśliwym strachem, bo na opak.

\* \* \*

Na opak – to mu dobrze.

Chociaż znowu ogrodnik myśli, że ma stracha – i to nie byle jakiego! i to straszliwego! Myśli, że ma stracha, co mu szpaki postraszy.

Ale dobrze straszy ten, komu rozkazali. A jak można rozkazać temu, kto się rozkazu nie boi?

Wiatr wiśnią chwieje, a on się śmieje. Czasem ze szpaczetami bawi się w gonione-straszone, żeby się straszna gęba na próżno nie marnowała. Szpaczeta bardzo lubią rozfruwać się z wrzaskiem: lepiej im potem wisienki smakują.

Stare szpaki nawet nie ruszą się z miejsca: wiedzą te wyjadacze wiśni, że jak strach dziurawą dynię szczyrzy, to z wielkiego chichotania, z łaskotania, które czyni słomiana dusza, co się w pięcie samotnej kołata. Wiedzą, że jak oczami wydrażonymi mruga, to na wiewiórka, dzięki któremu tak poweselał strach, że można go nazwać i srebrnym, i nawet podniebnym.

Więc kiedy Laura, zielonkawe leśne widziadełko, biegnie pod wieczór przez wiśniowy sadek, to nawet zachwycone ćmy wiedzą już dobrze, że nie do księżycy woła: Filonie!

O, bo strachom tak łatwo straszyć, jeśli chcą! Ale kochane są tylko te, które nie straszą.

Nieposłuszne strachy.

Strachy na opak.

## LIŚCIE SARASAFIKSATY

Kiedyś, kiedyś, bardzo dawno temu, zwierzęta zjadały się z czystej złości.

Żeby z głodu – ba! to jeszcze można zrozumieć. Nam też zdarza się z głodu zjeść tego czy owego. Kurczaka na przykład. Albo zającą.

Ale ze złości, z czystej złości? Wstyd.

Tak już jednak bywa, że nikt nie wstydzi się najgorszej nawet rzeczy, jeżeli ją popełniają wszyscy.

Nie macie pojęcia, co zrobiło się wtedy na świecie. Nikt nie miał chwili spokoju. Większy i silniejszy jakoś to jeszcze wytrzymał. Mały i słaby ginął, zaledwie opuścił swoją norę. Czasem nawet zanim ją jeszcze opuścił.

Zdarzało się zresztą i słoniowi paść ofiarą maleńkiej myszki – może dlatego do dzisiaj słonice boją się myszy. Hipopotama zabijały byle zimorodki: podkładały mu rybę tak, że musiał pośliznąć się w kąpiel. Komary zakłuwały na śmierć gruboskórnego nosorożca, a orła mrówki łaskotały tak długo, aż go załaskotywały do suchej kosteczki.

Światu groziła zagłada. Przestraszone motyle nie zapylały kwiatów rododendronu, przerażone krety nie spulchniały ziemi pod wczesne kalafiory. Wielbłądy bały się chodzić do wodopoju, nie piły z rzek i jezior, więc przybór był tak wysoki, że zalewał pola uprawne. Wyglądało na to, że wszystko pożre wszystko i zostanie tylko łagodne nic.

Ale pewnego dnia zdażyła jeszcze na ginącej ziemi urodzić się mróweczka, która kochała świat. Właśnie ten i właśnie taki. To dziwne, że pokochała go mimo złośliwości zwierząt. Być może dlatego, że na taki świat przyszła.

Myślicie pewnie, że to była mrówka posłuszniczka, mrówka rozsądna, jak inne rude lub czarne mrówki, i porządna jak one?

Nie!

Wyobraźcie sobie, że mróweczka była wyjątkowo samodzielna i trochę stuknięta – zdaje się, że przez ziarenko piasku, które zaraz po urodzeniu spadło jej na łeppek. Porządna też zanadto nie była: zagapiała się w czasie pracy i zostawiała po sobie mnóstwo nie uprzątniętych igieł sosnowych i śladów zapiaszczonych łapek na mchu. Bo trzeba wam wiedzieć, że mimo niebezpieczeństwa wybiegała z mrowiska na bardzo dalekie spacery. Wcale nie po to, żeby przynieść siostrzom mrówkom nieżywą muszkę albo żeby ukąsić złośliwie jeżozwierza, o, nie. Wyłącznie po to, żeby zobaczyć raz jeszcze kawałek ukochanego nieba nad ukochanym wrzosowiskiem i odetchnąć ukochaną wonią drzewa, zwanego pinus nigra, czyli sosna czarna.

Nic dziwnego, że podczas dalekich wędrówek zauważyła to i owo. Gorzej:

poczuła, że zamiast być złośliwą jak wszystko – jest łagodna jak nic. Jeszcze gorzej: poczęła zadawać innym mrówkom niestosowne pytania:

– Dlaczego zajączek zabija łapką biedronki? Przecież jest roślinożerny.

Albo:

– Dlaczego mrówki zabijają inne mrówki? Przecież są z jednej rodziny.

Tłumaczono jej po dobroci:

– Zajączek jest filozofem. Zabija dla zasady.

Lub:

– Mrówki sprawiedliwe zabijają mrówki niesprawiedliwe.

– A na odwrót? – dopytywała się mróweczka.

– Na odwrót też.

– To ja nic nie rozumiem.

No więc nazwano ją głupolem.

Bo jakże można nie rozumieć tego, co jest? Gdyby czegoś nie było – to co innego.

Strasznie to przezwisko gniewało mróweczkę. „Głupol, chodź!” „Głupol, weź!” Jak długo można to znosić? Trzeba czym prędzej zmienić świat albo siebie. Mróweczka nie była takim znów głupolem, żeby nie wiedzieć, że siebie zmienić najtrudniej. Postanowiła zatem zmienić świat.

W pierwszą naprawdę słoneczną niedzielę, kiedy nikt nie gonił mróweczki do pracy, mała wymknęła się ukradkiem do lasu i powędrowała do chatki brodatego pustelnika.

Pustelnik, jak się domyślacie, był człowiekiem. Żadne zwierzę nie bywa tak leniwe, żeby od rana do wieczora i od wieczora do rana leżeć na pośłaniu z gałązek jedliny i nie ruszać palcem u nogi. Tylko człowiek może zdobyć się na coś takiego, jeśli, oczywiście, nie czuje w tej nodze mrowienia.

Mróweczka weszła do chatki i wbiegła na palec bosej nogi pustelnika, żeby zmusić leniucha do kiwnięcia dla niej palcem.

– Co za głupol! – mruknął pustelnik, zginając palec.

– Tak, to właśnie ja! – zawołała mróweczka. – Cieszę się, że mnie poznałeś. A nazywają mnie tak, bo nie rozumiem, czemu zwierzęta zjadają się ze złości.

– Ty głupolu! Bo czują złość zamiast apetytu.

– Tak? A co zrobić, żeby czuły apetyt zamiast złości, którą czują zamiast apetytu?

– Co z ciebie za głupol! Liście sarasafiksaty.

– Dać im do zjedzenia?

– A to głupol! Do wypalenia w fajce pokoju, rzecz jasna.

– A gdzie jest fajka pokoju? – zaczęła dopytywać się mróweczka. Ale pustelnik przyzwyczał się już do mrowienia, przestał kiwać palcem u nogi i natychmiast zachrapał.

„Gdybym go zjadła z czystej złości, byłabym górą – pomyślała mróweczka. – Ale i tak niczego bym się od niego o fajce nie dowiedziała. Więc lepiej nie zjadać ze złości. Zresztą jestem na to za łagodna. Pójdę poszukać tej fajki, która

sprawi, że świat stanie się podobny do mnie”.

Przyjrzała się bacznie bosej stopie pustelnika, wskazującej jedną z czterech stron świata. A ponieważ mróweczce było wszystko jedno, w którą stronę pójdzie, poszła właśnie w tę stronę – w południową, upalną, pachnącą bursztynowokorzennie. Pachnącą tak, jak pachnieć mogą tylko liście sarasafiksaty.

– Gdzie liście, tam fajka – mówiła sobie mróweczka. – Bo po cóż rosłyby liście, jeśli nie po to, żeby nabić nimi fajkę pokoju?

*Sarasafiksata  
ratunek dla świata.  
Wypalimy ją w fajce  
i już będzie po bajce,  
po bajajajajce...*

\* \* \*

Z jednej strony nie ma nic delikatniejszego, jak mrówcze nóżki, ale skoro z drugiej strony są równie delikatne trzy mrówcze nóżki, to razem mamy sześć nóżek, a to już coś jest.

Zresztą nóżki doskonale wytrzymają taki marsz, kiedy idzie się nie dla siebie, lecz dla nieba niebieskiego, dla zieleni zielonej, dla ciepłego wiatru i dla różowego słońca między pniami drzew gatunku pinus nigra, czyli sosna czarna. A mróweczka szła tak właśnie, beztrąsco, nie pytając, czy dobrze idzie – kogo miała zresztą zapytać? Każdy napotkany zwierz obcy mógł zjeść ją ze złości, a znów każda mrówka sprawiedliwie: choćby tylko po to, żeby dać nauczkę zbyt samodzielnej młodzieży.

Więc nikt nie udzielał mróweczce rad ani wskazówek, zapewne dlatego szła jak trzeba. Prowadził ją zresztą bursztynowokorzenny zapach sarasafiksaty. Prowadził leśną ścieżką po igłach sosnowych, polną dróżką między kwiatkami wyki, górską percią po kamykach i płożących się pędach malin. Aż w samo południe liście sarasafiksaty zapachniały tak mocno, jakby rosły tuż-tuż.

Ale nie rosły tuż-tuż, lecz na rudej skale, bardzo stromej i bardzo wysokiej, za wysokiej i za stromej dla małej, zmęczonej mróweczki.

– Mogłabym cię obejść, góro, i powędrować dalej – powiedziała mróweczka.  
– Ale coś mi mówi, że ominęłabym wówczas liście sarasafiksaty. Poznają po zapachu bursztynowokorzennym, że one są tam, na samej górze góry.

Zadarła głowę i ujrzała zwieszające się ze szczytu skały gałęzie, liście i kwiaty w kolorze bursztynowokorzennym.

– Prawda, że miejsce niedostępne. Ale gdyby było dostępne, dawno nie byłoby tam ani sarasafiksaty, ani fajki, która musi być gdzieś w pobliżu. Spróbuję sobie ją udostępnić.

Cofnęła się, rozpędziła i z rozbiegu wskoczyła na wysoką, stromą ścianę. Sześcioro nóżek, choć było ich aż tyle, nie znalazło zaczepienia na gładkiej skale, a to trzy razy gorzej, niż gdyby ześliznęły się tylko dwie nogi. Więc mróweczka wylądowała pod rudą górą na grzbiecie.

Troszkę ją to stuknęło, lecz nie bardzo, bo, jak pamiętacie, raz już była stuknięta przez ziarenko piasku. Zaczęła śpiewać sobie cichutko, wymachując w powietrzu sześcioma łapkami.

*Sarasafiksata  
głupie figle płata.  
Wypalimy ją w fajce  
i już będzie po bajce,  
po baj – ajajaj! – ce...*

\* \*

Musiała to „ajajaj!” krzyknąć trochę przygłóśno, bo nad jej dwukrotnie stukniętą głową ukazał się krążący orzeł, który orlim wzrokiem wypatrzył mróweczkę, leżącą na grzbiecie wśród pędów malin pod rudą skałą. Rozzłościło go to, że nie był dość rozzłoszczony, żeby ją zjeść z czystej złości.

– Ty głupolu! – zawołał. – Czy musisz tutaj wylegiwać się na plecach, zamiast załaskotywać orły do suchej kosteczki?

– Tak, to właśnie ja! – odrzyknęła mróweczka. – Cieszę się, że mnie poznałeś. Prawdę mówiąc wcale nie muszę tu leżeć. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie podrzucił na sarasafiksata.

– A po co ci sarasafiksata?

– Widzisz, to historia prawie tak głupia, jak ja. Sarasafiksata nabijemy fajkę pokoju, żeby zwierzęta nie zjadały się z czystej złości.

– A z czego?

– Z głodu zwyczajnie.

– Rzeczywiście głupia historia: już zapomniałam, co to apetyt. O ile pamiętam, to coś o wiele miłszego od złości. Orle słowo, że chciałbym znów jeść z głodu.

– Więc podrzuć mnie na skałę.

Orzeł spłynął na dół i siadł nad mróweczką, wlepiając w nią przezroczyście ślepią, co mogłoby śmiertelnie przerazić każdego, kto nie jest dwukrotnie stuknięty i nie leży do góry nogami, przez co widzi świat nieco opacznie.

– Podrzucić! To nie takie proste. W sarasafiksacie zaległy się lwy.

– Masz na myśli mrówkolwy?

– Nie. Lwy olbrzymie z gatunku panterowatych. Panthera leo. Uwielbiają zapach rzadki i bursztynowokorzenny. Znalazłyby cię tam natychmiast i z czystej złości rozszarpały na strzępy mniejsze od mysikrólika.

– E, to i tak większe ode mnie! – powiedziała mróweczka niefrasobliwie.

– Nie jestem taki pewien – mruknął orzeł. – Jeśli zaś zginiesz, to nie znajdziesz tej fajki, od której, jak powiadasz, wszystko zależy, a zwłaszcza mój apetyt.

– Może ty pójdziesz, orle... – zaczęła mróweczka nieśmiało. – Może ja poczekam sobie tutaj, a ty ...

– No, wiesz, głupolu! Ja mam ubiegać się o zwyczajny głód? Ja, zwierzę na najwyższym poziomie?

I natychmiast wzbił się jak najwyżej pod niebo, wykrzykując:

*Złość to jest siła świata –  
co tam sarasafiksata!  
Sama szukaj tej fajki,  
mądry nie wierzy w bajki,  
w bajajajajki!*

\* \* \*

Orzeł głośno krzyczał, lecz po cichu poleciał po jednego złośliwego królika, którego już dawno postanowił zjeść z czystej złości, a omijał go jedynie dlatego, że miał dosyć króliczego mięsa.

Królik siedział przed ukochaną podświetkową norą i wymyślał sposób na zeżarcie lwa. Spostrzegłszy cień orlich skrzydeł nad kępą macierzanki, wczuł się natychmiast między korzenie, wystawiając wąsy jak anteny, żeby chwycić, o co chodzi.

Z początku milczeli obaj. Wiadomo, że kto pierwszy wychodzi, ten już stracił ruch... Wreszcie orzeł poczuł, że wąsiki złoścą go tak, iż mógłby zaraz zjeść ze złości królika, nie czekając, aż królik przyda się w sprawie sarasafiksaty, przysparzając orłu apetytu.

– Hej, króliku! – zawołał. – Czy chciałbyś wpuścić lwy w maliny?

– Hej, orle! – odparł królik. – Właśnie kombinuję coś w tym rodzaju. Strasznie drażnią mnie te kociska, dawaj mi je tutaj zaraz.

– Na razie siedzą w sarasafiksacie, na wysokiej, rudej skale – powiedział orzeł. – I cała sztuka to wywabić je stamtąd. Pomogę ci, jeżeli ty mi pomożesz.

– Co za nagła dobroć! – roześmiał się królik. – Założę się, że chciałbyś zjeść je sam z czystej złości. Nic z tego. Mogę łaskawie odstąpić stare lwy. Ale zostaw mi lwiątko. Nie lubię się przejadać, jestem zresztą roślinożerny. Gdyby nie złość na tego smarkacza... Więc wymyśliłem rodzaj siatki na motyle. Ty zdenerwujesz lwiątko, ono skoczy w maliny, ja złapię je w siatkę i moje! moje!

Nie wiem, czy widzieliście kiedyś złośliwego króliczka. To bardzo przykry widok i orzeł ledwie się powstrzymał od pożarcia króliczka z wściekłości.

– Głupi sałaciarczy! – wrzasnął. – Chodzi o to właśnie, żebyś nie musiał jadać mięsa! Żeby ci ropucha ze złości nie wyjadała króliczków! Wywabisz lwy z



sarasafiksaty, ja wrzucę tam niemądrą mrówkę, a ta mrówka znajdzie jakąś głupią fajkę pokoju. Nic ci to nie mówi? Fajkę pokoju, rozumiesz, ty króliczy łbie?

– Nie rozumiem – powiedział królik. – Ale mdli mnie już to mięso i mięso.

Tak się tym przejął, że wylazł z nory na całego, a orzeł chwycił go ostrożnie w szpony i, starając się nie złościć, zaniósł pod rudą górę, z której zwieszała się bursztynowokorzenna sarasafiksata.

Na ich widok mróweczka zamachała nóżkami z radości. Brakowało jej do szczęścia jeszcze jednego: żeby ją ktoś wreszcie na te nogi postawił...

– Strata czasu – powiedział orzeł. – Jeżeli już miałbym cię podrzucić, to od razu tam, na górę.

– E, myślę, że na górze lepszy byłby królik. Dużo słyszałam o króliczej odwadze.

Nie była takim znowu głupolem, żeby nie umiała tego na poczekaniu wymyślić.

– Wykluczone – oświadczył królik. – Mogę gwizdać na lwy i wpuszczać je w maliny, jeżeli tak wam zależy na tym, żebym miał tę moją sałatę. Ale nie mogę szukać jakiejś głupiej fajki pokoju. Rozumiesz, ty głupolu? Trzeba mieć zasady, dopóki nie wymyślono innych.

*Może sarasafiksata  
zmieni zasady świata.  
Zanim jednak znalazłaś fajkę,  
nikt nie uwierzy w bajkę –  
chyba, że to sałata,  
sałalalalata.*

Jak tylko lwy spostrzegły królika, co biegał pod skałą z siatką na motyle i gwizdał, postanowiły skoczyć na chwilę na dół i zeżreć go z czystej złości. Wprawdzie wystarczyłyby na to jeden lew, lecz wszystkie cztery tak były objedzone strusiami, szympanсами i antylopami gnu, że pożreć królika mogłyby jedynie do spółki. Ustawiły się więc w kolejce do skoku ze swojej lwiej skoczni.

Tymczasem orzeł pospieszenie chwycił mróweczkę i poniósł ją na szczyt rudej skały. Zrzucił ją tam, nim jeszcze ostatnia lwica zdążyła zeskoczyć w maliny – i mróweczka wylądowała dokładnie w lwich kudłach. Miała teraz do wyboru: zjeść z czystej złości lwicę albo zostać przez nią z czystej złości zjedzoną. Właściwie, jak się zapewne domyślacie, łatwiejsze było to pierwsze, bo trudniej lwicy odnaleźć mrówkę w kudłach, niż mrówce zapolować na lwicę, skoro już na niej siedzi. Lecz mróweczka była łagodna jak nic. Więc sytuacja wyglądała niewesoło dla mróweczki, dla królika, otoczonego przez dwa lwy i lwiątko oraz dla lwicy, nad którą krążył drapieżny orzeł z zasadami najwyższego lotu.

– Stać! – zakrzeczał. – Nikt nie tknie niczego, słyszycie? Albo wam zjem waszą mamusię...

Nie wiadomo skąd wpadł mu do głowy ten dziki pomysł, żeby wziąć sobie zakładniczkę. No, ale to było bardzo dawno temu, w dzikich czasach, kiedy zwierzątka zjadały się wzajemnie z czystej złości.

Miał teraz prawo mówić więcej i dłużej niż inni. Powiedział zatem:

– Chodzi o mróweczkę. Ten głupol uroił sobie, że uchroni świat od zjadania się z czystej złości, ale wpierv musi znaleźć w sarasafiksacie bursztynowokorzenną fajkę pokoju, a kiedy wypalimy ją wszyscy razem...

– Wszyscy razem? My w to nie wierzymy! – zaryczały lwy. Można by powiedzieć, że ryknęły śmiechem.

– Nikt rozsądny w to nie uwierzy – zgodził się orzeł. – Ale dlatego niech spróbuje głupol. Pozwólcie mróweczce przeszukać krzewy sarasafiksaty, a pożeranie odłożmy sobie na potem. Może już nie będzie słuszne?...

– Po co ona ma przeszukiwać sarasafiksate? – zapiszczał dziecinnym dyszkantem lewek. – Ja widziałem fajkę. Jest w jaskini, u tej starej, grubej żmii, co wciąż ostrzy na nas ostatni jadowity ząb.

– Dostaniesz w skórę! – ryknął lew. – Odwiedzasz tę czarownicę? Przecież ona mogła cię pożreć! A jeśli tego nie zrobiła, to czemu ty jej nie zjadłeś z czystej złości? Obowiązki przede wszystkim, synu.

– E, też coś! – mruknął niezbyt grzecznie lewek. – Ona jest na głódowce, bo tak się spasała, że nie może zmieniać skóry. A ja nie znoszę tłuszczu, tatusiu.

– Dobrze wychowane dziecko nie grymasi przy jedzeniu – ryknęła z góry lwica. – Jakaś taki głupi, to masz mój ogon, idź sobie do tej wiedźmy.

Lwiątko podskoczyło, złapało koniec ogona matki i wylądowało na kępie sarasafiksaty. Później obydwójce z mróweczką zniknęli w gąszczu kosodrzewiny, gdzie widać było wąskie wejście do jaskini.

Królik, orzeł i lwy popatrzyli po sobie.

– Jeżeli wolno coś powiedzieć, panowie – rzekła uroczyście lwica – to pozwolę sobie zauważyć, że historia zabrnęła już tak daleko, iż tylko dzieci lub stuknięci mogą nas uratować.

Tym razem nikt nie odpowiedział jej, że nie wierzy w fajki.

\* \* \*

– Dobrze – powiedziała żmija. – Zamknę oczy, a wówczas nie będę musiała zjeść was z czystej złości. Kiedy zamykam oczy, nie widzę, po co mam robić to, co inni. Już. Możecie wejść.

Była naprawdę bardzo tłusta. Miała na sobie ze sześć skór, których nie mogła zrzucić, bo były za ciasne, więc narastały na siebie, aż ułożyło się z nich sześć podbródków.

– A właściwie o co wam chodzi, moje dzieci?

– O ten wydrażony patyk, na którym pani syczy sobie wieczorami. Nazywa go pani fajką pokoju, prawda?

– Ach, mówicie o starej piszczałce? Myślałam, że już nikt się o nią nie

upomni. Ale gdybyście mi dali zamiast niej fujarkę z sandałowego drzewa...

Nie minęło pięć minut i orzeł zrzucił u wejścia jaskini puszczalkę z drzewa sandałowego. Żmija zsunęła się z fajki, oplotła sandałową fujarkę i zagrała. Nie powiem wam, czy to była piękna muzyka, lecz z pewnością pachnąca drzewem sandałowym i tak porywająca do tańca, że nawet żmija, nie przerywając dmuchania, stanęła na końcu samej siebie, czyli ogona, i zaczęła chwiać się na prawo i lewo jak zaczarowana.

A mróweczka i lwiątko chwycili starą fajkę i zatańczyli także dziwny i wesoły taniec, nazywany dotąd sarasafiksacją mrówkolwa. Tańcząc wybiegli z jaskini, tańcząc napełnili fajkę bursztynowokorzennymi liśćmi, tańcząc zapalili ją rozżarzoną kropelką żmijowego jadu, który kapał z puszczalki.

Niebieski, słodko-gorzki, bursztynowokorzenny dym buchnął ze szczytu rudej skały. Tańczył w radosnych kłębuszkach w takt fujarki z drzewa sandałowego.

I wnet ze wszystkich czterech stron świata zaczęły nadciągać, schodzić się, szołgiwać, sfruwać zwierzęta. Sarny i łososie, makolągwy i kangury, niedźwiedzie i koniki morskie.

Nie zjadały się nawzajem ze złości, bo zajęte były wzajemnym pomaganiem sobie, żeby dotrzeć pospołu do bursztynowokorzonego zapachu palonej sarasafiksaty. Czasem któreś z głodu skubnęło przydrożny mech, czasem skubnęło inne zwierzę, ale tak to bywa i przy najuroczystszych święcie.

– Fajka pokoju – szeptały do siebie wzajemnie. – Wypalimy fajkę pokoju i już nigdy...

Czy wypaliły tę fajkę? Któż to wie – to było tak dawno. Zresztą – co będą udawać. Powiem wam prawdę: nie mogły jej wypalić. Żuki i skowronki były na to za małe (nie mówiąc już o mrówkach), a wieloryby i słonie tak wielkie, że połknęłyby fajkę natychmiast. Zresztą zwierzaki są zdecydowanie niepalące, więc w te bajdy pustelnika mógł uwierzyć jedynie taki głupol jak mała, stuknięta mróweczka, która pokochała świat.

A jednak, a jednak... Chociaż fajka wypaliła się sama i pękła na dwoje ze starości, choć zgasły rude zorze wieczorne nad rudą skałą i skończył się taniec, nazwany sarasafiksacją mrówkolwa, tłum zwierząt stał dalej w zachwyceniu, słuchając opowiadania orła o tym, jak powstrzymał się od zjedzenia mrówki, i opowiadania lwów o tym, jak nie zjadły orła, i opowiadania królika o tym, jak orłu dopomógł, i opowiadania żmii o tym, jak nie zabiła lwiątko... A było im wszystkim tak spokojnie w zapachu sarasafiksaty i tak dumnie, że potrafią nie zjadać się ze złości, i tak ciepło, że są bezpieczne od złości cudzej, iż polubiły bajkę – i postanowiły...

A może nie polubiły? Może nie postanowiły?

Może opowiadanie trwało tak długo, że przez ten czas zwierzęta zapomniały zjadać się z czystej złości?

Zwierzętom nie trzeba dużo czasu, żeby zapomnieć.

Bo ta bajka – raz jeszcze to powtarzam – jest, jak inne bajki, bajką o

zwierzętach, nie o ludziach, o nie. To zwierzęta uratowały ziemię od zagłady. Motyle siadały znów na kwiatach rododendronu, krety zaczęły spulchniać ziemię pod wczesne kalafiory, wielbłądy piją mnóstwo wody, stuknięte mróweczki mogą żyć na ukochanym świecie w jakim takim spokoju. To zwierzęta. A ludzie? Ludzie mogą sobie pośpiewać:

*Jeśli dla naszego świata  
rośnie gdzieś sarasafiksata –  
musi znaleźć się fajka,  
zanim będzie po bajkach,  
po baj – ajajaj! – kach...*

## SERCE WIOLONCZELI

Ta historia zaczyna się tam, gdzie zaczynają się wszystkie bajki. Za siedmioma górami, za siedmioma morzami rosło drzewo odmienne.

Od innych drzew szedł zwyczajny szum. A od tego drzewa szło granie.

*Jesteśmy liśćmi odmiennymi.  
Spokojem ziemi.  
Sercami lasu, które przenika  
muzyka.*

Tak śpiewały liście drzewa odmiennego. Choć las dokoła szumiał zwyczajnie. Wystarczało mu widać, że rośnie tam, skąd zaczynają się wszystkie bajki.

Aż nadeszła noc niezwykłego szumu. To jesienna wichura przygięła drzewa do ziemi, i zerwała odmienne liście. A jeden z nich – ten prawdziwie złoty i niespokojny już jak wylęknione serce – przeniosła ponad siedmioma morzami, ponad siedmioma górami. Do naszego miasta. Skąd nigdy nie zaczynały się bajki.

\* \* \*

A ty może nie znasz wcale tej wąskiej uliczki, przy której stoi domek byle jakiego wiolonczelisty, Mikołaja Rzepoły.

Ale wylękniony liść dotarł tam od razu. I całym sercem przylgnął do ciemnego okna. Jakby wiedział, że Mikołaj zbudzi się i zapyta:

– Kto tam? Dajcie mi się wyspać! Całą noc rzepoliłem na cudzym weselu, aż mi wiolonczela ochrypla. Kto dobija się do mnie o świcie? Oho! To złoty listek drży na szybie jak spłoszone serce. Chodź, otworzę ci okno i pójdziemy spać.

I oto razem z wylęknionym liściem wtargnął do izby jesienny wiatr. Uderzył o stojącą w kącie wiolonczelę, aż jęknęły zachrypnięte struny, a Mikołaj spieszenie zatrasnął okno.

– Listku! Gdzie jesteś? Czyś to ty potrafił wiolonczelę? Tak! Coś drżącego migocze tam w głębi. Nie bój się, wyjdź!

Ale wiolonczela odezwała się po raz wtóry. Piękniej i czystiej niż zazwyczaj. To zaśpiewał w niej liść odmienny:

*Nie chcę, nie chcę, nie chcę!  
Przylgnąłem całym sercem.*

*O, co za drzewo! O, co za woń!  
Kalafonio, kalafonio, ka-la-foń!*

Roześmiał się Mikołaj, choć taki był zaspany.

– Co, zapachniało ci ojczystą żywicą? Siedźże tam sobie, liściu. Tylko mi nie szum zbyt, kiedy zacznę grać.

– Dobrze. Zaczynaj.

– Teraz, kiedy mi jeszcze noc nie wywietrzała z głowy? A może ty mi się tylko śnisz tak ładnie? Niech będzie! Zagram sobie w tym ładnym śnie.

Chwycił z kąta wiolonczelę, żeby zagrać jak zawsze – byle jak. Lecz wyszło mu to inaczej!

– Ejże! Ja śnię na pewno! Tylko takie śnione rzepolenie może nie być rzepoleniem. Gdybym tak grywał nie śniąc, tobym nie śniąc grywał na prawdziwych koncertach. Żeby mi się nie śniło to odmienne granie, toby mi się nie śniło rzepolić po weselach.

A liść już wiedział, że to od jego strachu wypiękniała Rzepole muzyka. Bo wiolonczela była teraz jak drzewo odmienne. Bezpieczna i rodzona.

Tymczasem pojaśniało na dobre, i z ciemności izby wypełzać zaczęły na światło stołki i krzesła, półki i szafki, wiadra i miski, nie zasłane łóżko i nie nakryty stół. A może to Mikołaj przetarł wreszcie oczy i zobaczył na nowo swój ubogi świat? „Nie, to nie sen – pomyślał sobie – ale i tak wnet zniknie przydarzona mi bajka. Nie będzie przecież złociła się głupio w mojej szarzyźnie.”

Nie! Gra mu się dalej ta bajka na wiolonczelowych strunach. A rozwija się w tak odmienne tony i trele, że na wąskiej uliczce (której nie znasz pewno wcale) zbiera się bardzo zdziwiony tłum. I klaszcze. I wiwatuje. Aż liściaste serduszko rośnie z tej dumy, że jego lęk przydał się na coś wiolonczeli: nigdy, nigdy liść żaden nie był tak wysoko!

Nijako było Rzepole stawać wobec oklasków boso i w nocnej koszuli. Więc uchylił drzwi na tyle, na ile nie byle jakiemu grajkowi przystoi, żeby wyjaśnić:

– Szanowni zdziwieni państwo! Ja właściwie jeszcze dzisiaj nie jestem. Ja tak z wczoraj gram sobie tylko.

Lecz podano mu wnet z tej wąskiej uliczki frak, muszkę i lakierki.

I nikt nie miał nic przeciwko temu, by Mikołaj frak przywdział na nocną koszulę, a lakierki na boscie nogi. Pewnie sprawiła to bajka, co toczyła się nadal odmiennie, dzień po dniu, zachwyty po zachwycie.

\* \* \*

Toczyła się ta bajka odmiennie. Nawet wówczas, kiedy Rzepoła wieczorami powracał z koncertu, dźwigając pudło z odmienioną przez liść wiolonczelą, słuchając mimo woli okrzyków gazeciarzy:

– Kto czarować zdoła jak słynny Rzepoła!

– Wspaniały maestro, klękaj orkiestro!

Bardzo przyjemnie myśleć sobie, że zawsze będzie się miało wiolonczelę, bogatszą o serce. I nogi, bogatsze o lakierki. I grzbiet, bogatszy o frak. Bardzo miło mieć swoje drzewo odmienne.

Ale wszystkim drzewom w bajkach zagraża ta sama wichura. A ludziom – ta sama wojna.

Wystarczy, że bajka pobiegnie szybciej niż najszybszy gazeciarz. I nagle wstrząsną nią grzmoty huczniejsze od najhuczniejszych braw.

– Co to, Mikołaju? Czemu trzęsiesz mną tak niemiłosiernie?

– Biegniemy do domu, serduszek. To grzmot armat. To wojna!

– Nie wierzę. Wojna w mojej bajce?

Kiedy tak listek nie dowierzał, coś właśnie zaświszczało nad pudłem, coś rzuciło nim o ziemię, coś ucichło ciszą o wiele za długą.

– Mikołaju, odezwij się wreszcie! Czy to ciepły deszcz przecieka do środka? Taka nagła wiosna tej jesieni?

A ty może nie wiesz wcale, że w bajce wojna wszystko odmienia. Krew Mikołaja w deszcz. Wiolonczelistów zdrowych w poranionych. Pudło wiolonczeli w nosze. A wyrzuconą z pudła wiolonczelę w duży, śmieszny rupień na środku chodnika.

– Zabrano go! Mikołaju! Co stanie się z naszą historią? Przecież ta bajka należy do nas!

I pewnie do kogoś jeszcze.

Bo ten ktoś zjawi się za chwilę.

Na razie stoi w drzwiach pobliskiego sklepu i wpatruje się w duży, śmieszny rupień na środku chodnika. Wie, że na ulicy leżą tylko rzeczy niczyje.

– Co to? Wieloryb? Niczyj wieloryb? Żal mi go bardzo! Muszę sprzedać go komuś, żeby zrobił się czyjś. Podobno wieloryby nie gryzą? Na wszelki wypadek zabiję go i wezmę w kawałkach.

I oto liść ujrzał nagle pogrzebacz, wzniesiony nad wiolonczelą.

– Nie! Nie bij!

Sklepiarz stanął jak wryty. Bo to był sklepiarz. Nieco przyziemny od ciągłego rachowania. Więc nie spodziewał się po wielorybie strun, a po strunach mowy. Z drugiej strony przydało mu się rachowanie: szybko obliczył w pamięci, że nie ma czasu na zbyt długie zdumienie.

– Żeby to nie gadało, mogłoby być wiolonczelą. Hej, czy to ty?

– To ja... Boję się... – zapłakało ze środka.

– Takem i wyrachował, żeś ty wiolonczela. Nie płacz, ja cię wyratuję od niczyjowości. Jeszcze nie ratowałem grających wiolonczel. Czyli że nie ma tej wojny, co by mi na dobre nie wyszła. Koncertowanie dzisiaj na nic! Za to gadanie liczy się, ho, ho! A szlochanie – sto razy więcej.

Przyciągnął sklepiarz wiolonczelę pod sklep. Ustawił przy samych schodkach, żeby nie trudzić się nadto dźwiganiem. „Jak na słoneczku przeschnie, to będzie lżejsza – no i nie ma to, jak suchy szloch!” Później usiadł

na progu, mnożąc łzy przez grosze. I obliczając, ile nie płaczących wiolonczel kupić można za jedną płaczącą wiolonczelę. I jak długo powinna trwać wojna, żeby wszystkie wiolonczele płakały i były niczyje.

– Teraz! – powiedział sobie liść. – Za Mikołajem, do szpitala. Po naszą bajkę!

I – choć nie mógł opanować drżenia serca, którym przyłgął już do wiolonczeli – przekradł się spoza strun na ulicę.

– Hola! – wrzasnął sklepikarz, podrywając się z progu. – Cóż to za kosmaty bąk wyłazi spoza strun? Jakiś trzmiel wysysa muzykę z towaru niczyjego? Niczyje – to nie twoje! A sio! Wiolonczela nie gruszka! A jeśli nawet – to nie twoja własna, tylko moja cudza. Złodzieju! Przed sąd wojenny postawię! A sio!

I znów zamierzył się jak na wieloryba. Ale źle sobie coś wyrachował. Zahaczył pogrzebaczem o strunę, aż mu zachrypiała byle jak.

Żal się liściowi zrobiło opuszczonej wiolonczeli. Wiolonczeli oniemiałej i zachrypniętej. Postanowił zagrać sklepikarzowi na nosie. Uderzył o ten nos i zaśpiewał:

*Nie zapłacze wiolonczela,  
w wiolonczeli nie ma trzmiela!*

– Patrzcie go! – wymamrotał sklepikarz, zezując z przejęciem na uwieńczony liściem nos. – Czyli że basetla trzmielom gadała! O, to cię już nie puszczę.

I chwycił za swój nos, ale znów pomylił się w rachunku: liść poderwał się i zatrzepotał w powietrzu. Odnalazł jesienny wiatr. Jak złoty żagielek położył się na nim, płynąc nad ulicą. Zachciało mu się dłużej pobyc trzmielom: nigdy liść żaden nie był tak wysoko!

A niżej, dużo niżej biegł zasapany sklepikarz, i nie przestawał nawoływać:

– Cip, cip, mój złoty, mój niczyj! Takiś ty? A kto cię z ziemi podjął? Kto ci wiolonczelę suszył? Weźże to w rachubę. Odpląć mi się, sprzedaj mi się, a potem komu innemu zwiej. Pójdź tu, na tu, samotna sierotko... – Zerwał z głowy kapelusz. Machał nim i gwizdał, aż zmienił kierunek wiatru.

Liść poczuł, że opada na jezdnię. Ostatnim wysiłkiem raz jeszcze wzbił się w górę.

\* \*

I wylądował – jak przystało trzmielowi – w różowych petuniach na balkonie wysokiej kamienicy.

„Nie widzę tu Mikołaja – pomyślał – więc to chyba nie szpital jeszcze? Ale przynajmniej petunie, zwłaszcza różowe, nie będą rachowały i ratowały.”

Nagle poróżowiało wokół niego jeszcze bardziej, i liść pojął, że ogląda słońce przez czyjeś różowe, przezroczyście palce.

– A kuku! Zgadnij, kto to? – zapytał delikatny głosik.

– To ty – odpowiedział liść, bo odpowiedź taka w żadnym wypadku nie była



brzydkim kłamstwem.

– Zgadłeś! To ja! Więc mnie kochasz! – powiedział delikatny głosik.

Palce rozchyliły się trochę. Wyrzały spoza nich oczy delikatnej staruszki.

„Jest taka dobra, że chyba nie będzie mnie chciała ratować...” – uspokoił się liść. I spróbował przylgnąć do babcinych rąk całym sercem.

– Patrzaj, ładnie ci tu będzie? Zielony balkonik, różowe petunie, w petuniach klatka. Pokochałam i ja ciebie, kanareczku, co? Cicho bądź.

– Ja... Ja nie jestem kanarkiem... – wyszeptał liść.

Nie chciał być kochany przez nieporozumienie. Zastanawiał się, czy chciałby w ogóle być kochanym bez nieporozumienia. Miał przecież inne sprawy na sercu.

– Cicho sza. Jesteś tym, na kogo czekałam. A czekałam na kanarka. Wcale bym cię nie wzięła, gdybym cię za niego nie brała. Kochamy się i pójdziemy za kratki, co? Cicho bądź.

– Razem?

– A razem, razem. Zawsze marzyłam o własnej klatce wśród różowych petunii. A jeszcze z kanareczkiem przy boku, co? Cicho!

– No a Mikołaj?

– Nie – powiedziała staruszka. – On już się nie pomieści. Nawet jeśli jest również kanarkiem.

Rzeczywiście! Przyciasno im było w tej klatce, chociaż babcia zgarbiła się we dwoje, a liść ledwie mógł odzignąć w jej dłoniach. Nie miał nawet miejsca, żeby zadrzeć ze strachu. Dwakroć było mu ciasniej niż starowince, dwakroć za to różowiej i cieplej. I ciszej także. Pomimo grania dział i huku samolotów gdzieś poza bezpieczną różowością i ciszą.

Więc dlaczego wzdychał do jakiegoś nieprzytulnego szpitala?

– Cyt, cicho, kanareczku. Pod balkonem wojna i różne takie wybuchy, a na balkonie mała ojczyzna za kratą i gwizdź na cały świat, ptaszyno. Gwizdź, powiadam.

„Gwizdać na cały świat? Nigdy, nigdy liść żaden nie sięgnął tak wysoko!” – pomyślał listek i zagwizdał. Najpierw cicho i nieśmiało, jak wiatr w różowych petuniach. Potem głośniejszy, jak czajnik z gwizdkiem. Później jak przelatująca kula.

A wreszcie tak sobie to gwizdanie na świat wziął do serca, że zaczął gwizdać jak lokomotywa. A babcia nie mogła zatkać sobie uszu. Miała przecież zajęte ręce.

– Na mnie gwizdziesz, na kochaną babcie? Jesteś okropnie zepsutym kanarkiem. Ale ja ciebie naprawię, mój miły. Będziesz śpiewał mi co do minuty. Cicho!

I zacisnęła dłonie tak mocno, że nie było w nich miejsca ani na drzenie ze strachu, ani na oddychanie, ani na prośbę o litość.

Nie było miejsca na nic.

I przez chwilę zdawało się liściowi, że przestał być, skoro nie miał gdzie.

A kiedy znowu był – był zupełnie gdzie indziej.

\* \*

A ty może nie znasz wcale tego ciemnego, długiego pokoju, w którym słychać szept wielu zegarów i wzdychanie sprężyn zegarowych, i kukanie zegarowych kukulek.

Ale babcia trafiła tam od razu.

I liść poczuł się natychmiast o wiele lepiej niż w klatce. Może dlatego, że zegary szumiały jak liście drzew? A może dlatego, że puściły go troskliwe dłonie i mógł sam drzeć o swoją bajkę? I świat nie był już tak milutko ciepły i różowy? Świat stał się ciemnobrazowy, chłodny i rześko pachnący politurą, jak warsztat zegarmistrza.

– Nie badaj go zanadto, majstruniu – powiedziała staruszka. – Mówię ci, że to kanarek i już. A nie lubię, jak mi ktoś po kanarkach szpera. Wsadź mu tylko sprężynkę przywiązania, co? Cicho.

– Żeby był cicho? Jeżeli to kanarek, to cóż to będzie za kanarek bez śpiewu?

– Mój będzie, majsterku, mój. Niemy, ale wzajemny, co? Jak zegarek.

Więc zegarmistrz pojął, że to ważna robota.

Wziął szkło powiększające. Pochylił się nad liściem tak, że liść poruszyć się nie mógł, chociaż babci już nie było. „Oho, naukowo mnie bada. A nuż znajdzie we mnie coś z wieloryba? Albo z hipopotama? I wsadzi do zoo? Dostyc mam klatek i krat! Z nauką nie ma żartów!” I liść pomyślał, że na wszelki wypadek lepiej pozostać kanarkiem. Bo już wiadomo przynajmniej, jak to jest, gdy się nim jest.

Nastroszył się więc ptasio i zagwizdał.

– Hm – mruknął zegarmistrz. – Gwizdanie może dowodzić, że jest się lokomotywą na przykład... A kanarek musiałby niewątpliwie fruwać. Taki parowóz fruwać nie ma prawa.

Chwycił liść i podrzucił go pod sufit.

A listek zaczął fruwać pośród zegarów, podśpiewując sobie z czystej, bezmyślnej radości.

*Znowu być wolnym między wolnymi,  
spokojem ziemi!  
Sercem ulotnym, które przenika  
muzyka!*

– Ta rzecz gwizdże jak nie rzecz – mruczał zegarmistrz. – To coś gada jak nie zwierzę. Ten ktoś fruwa jak nie człowiek. Więc naukowo jest to nic. A niczego nie ma.

– Nie ma? – listek aż opadł na pobliski budzik. – Przecież jestem.

– Czym właściwie?

– Właściwie niczym. Za to niewłaściwie – śpiewającym liściem. Który musi iść do szpitala. Po naszą bajkę.

– To nieściśle naukowo – mruknął zegarmistrz. – Skoro właściwie niczego tu nie ma, to niczego właściwie stąd nie wypuszczę. A tym bardziej do szpitala. Rozregulują niczemu na nic fruwanie, rozkręcą niczemu na nic gadanie i jeszcze na nic dadzą gips. Czy oni znają się na sprężynach i skutkach. Chciałem powiedzieć: na przyczynach i śrubkach? A ja nic popchnę do czegoś, I to właściwego.

– Ja mam być popychadłem?

– Ściślej mówiąc: wahadłem. Kto się waha sobie i buja sobie, ten waha się i drugim, i buja drugim. A z tego biorą się na świecie zegary. To oczywiste jak dwa mniej trzy jedenasta!

„Oj, źle – pomyślał liść. – Znowu rachunki i ratunki!”

I tak zaczął drzeć po swojemu, aż budzik zatrząsł się pod nim i zaniósł się donośnym terkotaniem, a metalowy młoteczek odrzucił wyleknione serduszko tak celnie, że wpadło do otwartej szafki stojącego zegara – i zawahało się chwilę, w którą stronę uciekać.

I oto wahanie liścia rozhuściło zegarową sprężynę i obudziło miarowe „tik – tak”. Tym bardziej miarowe i tym bardziej dostojne, że był to zegar samego admirała piechoty. „Nigdy, nigdy jeszcze żaden z nas tak wysoko... – powiedział sobie listek. – Szkoda, że nie wiszę naprzeciwko lustra. Może ujrzałbym, że przylegam całym sercem?”

A głośno zapytał:

– Czy nie waham się nazbyt szybko?

– O, to nie ma najmniejszego znaczenia. Ten zegar nie może się spieszyć. Ten zegar nie może się spóźniać. Ten zegar bardzo ściśle stoi na jednej i tej samej godzinie. Przecież zegary właściwie wiszą. Albo właściwie stoją. Więc jakże mogłyby chodzić? U mnie tyka naukowo w zegarach punktualnie stojący lub punktualnie zawieszony czas.

Liść zakolysał się niepewnie. Jeśli on sam zatrzymuje czas wahaniem, to przecież wojna nie skończy się nigdy! Ta straszna wojna, co w bajkach krew zmienia w ciepły deszcz, a pudła wiolonczeli w nosze, a wiolonczelę w milczący rupień...

– Więc nigdy nie wybije godziny odmiennej? – zawołał liść.

I zachwiał się jeszcze mocniej.

– Godziny pokoju? Bez wątpienia. Godziny pokoju wybijał tylko dzwon z Wieży Przeogromnej. I dlatego nigdy już wojna nie zmieni się w niewojnę.

– Och, czy ten dzwon jest bez serca?

– Przetopiono je na kulę armatnią. Możesz sobie tykać spokojnie.

Ale tykanie ustało.

To listek przestał się wahać. Zdawało mu się nawet, że nabrał odwagi i nie zawaha się już za nic. A przecież znowu zadrżał, kiedy ujrzał, jak zegarmistrz się zbliża, mierząc dłutkiem prosto w złote serce... To straszne – być

naprawianym wbrew sobie! Zostać już na zawsze wahadłem stojącego zegara!

Co za szczęście, że w bajkach wojsko zjawia się ni w pięć, ni w dziewięć. Prawie tak samo jak wojna. Więc też niespodziewanie zaterkotał dzwonek u drzwi i cały warsztat pojaśniał od błyszczących orderów adiutanta pana admirała piechoty.

– O, Wasza Bojowość! – jąka się zegarmistrz. – Tak... tak mi przykro! Ten ze... zegar tykał już jak najęty... a tu naraz... bez właściwego powodu...

– Był powód. Powód niewłaściwy... – melduje ze smutkiem adiutant.

I nagle staje na baczność przed zegarem, w którym milczy zdrętwiały liść.

– Donoszę, iż mamy czcigodną żalobę. Stała się bowiem rzecz niewłaściwa. Otóż poległ na froncie syn samego pana admirała piechoty. A więc ty, wierny zegarze, wielką okazałeś wrażliwość, żeś zatrzymał się na własne wahadło...

Tu wyciąga z kieszeni chustkę do nosa. Ale zamiast otrzeć łzy, owija nią złoty liść. Niesie go do pałacu. Tam składa wylękłe serduszko na aksamitnej poduszce pana admirała piechoty.

\* \*

A ty nigdy może nie spotkałeś pana admirała?

To dziwne, bo w dni powszednie zwykł przechadzać się po miejskim parku i pokrzykiwać na łabędzie, jakby to były jego okręty. Dlatego zapewne ma tytuł admirała, choć dowodzi piechotą lądową.

Tego dnia z wielkiego strapienia pokrzykiwał na łabędzie tak długo, że po powrocie do pałacu nie spojrzał nawet na poduszkę, na której złożyć miał głowę.

Za to rano cały pałac zatrzęsł się od wrzasku:

– Furda kartacze! Nie! Nie będę sypiał z orderem pod głową! Uwierało mój dostojny sen! Całą noc śniłem przez to głupie bajdy o grającym drzewie i bijącym dzwonie albo na odwrót. Jeszcze mi w uszach dzwoni. Zdjąć ten medal. Wystarczą sto dwadzieścia trzy ordery przypięte do mojej kołdry.

„Ach! Miałem wspólny sen z samym panem admirałem piechoty! – pomyślał liść. – Nigdy, nigdy jeszcze liść żaden nie zawędrował tak wysoko...”

Ale czuł, że kto do poduszki jest przypięty, ten nie mógłby do niej przyłgnąć całym sercem – nawet jeśli nazwany zostanie orderem...

Stłumił więc obawę przed nową odmianą losu.

I pozwolił się odpiąć. Aby na skrzydłach przeciągu wyfrunąć przez uchylone drzwi. Aby nad głowami dwóch bardzo czujnych strażników poszybować w stronę Wieży Przeogromnej.

Nie bardzo wiedział, co robi. Starał się nad tym nie zastanawiać, żeby nie przestraszyć się zanadto. Powtarzał sobie tylko jak w niedawnym śnie: „Wojna... niewojna... godziny odmienne...” Jakby chciał przedłużyć to uczucie, że śni. Śni odurzony przeciągiem, kołujący na jesiennym wietrze.

Dzwon w słońcu poranka wyglądał jak czerwony, rozpalony hełm. Ale w jego

wnętrzu było zimno i czarno. Może dlatego, że wyrwano mu serce?

Liść zadrżał. I uderzył o lodowaty metal.

A w dole, maleńki jak papierowy żołnierz, miotał się admirał piechoty w szlafroku i rannych pantoflach.

– Furda kartacze! Przecież sam, osobiście wydarłem ci serce! Kto pozwolił ci wybijać godziny pokoju? Kto pozwolił ogłaszać niewojnę, kiedy wojna! Wojna, aż miło! Milczeć, bo zastrzelę! Wybije co do nogi!

Wyjął z zanadru piżamy wysadzany klejnotami pistolet. I strzelił. Strzelał raz po raz. Cóż, kiedy kulki odbijały się od dzwonu. I dziobały dostojne oblicze admirała tak, że wyglądał jak po ospie. A liść przylegał całym sercem to do jednej strony dzwonu, to do drugiej. Rozkołysany o wiele mocniej i chętniej niż wtedy, gdy był wahadłem zegara. I dzwonił, i dzwonił, i dzwonił nad miastem. Dzwoniłby może i nad światem, gdyby świat w bajkach był nieco mniejszy i nieco bardziej posłuszny wołaniu o niewojnę.

Nadbiegli wreszcie wartownicy. Dwoili się i troili, aby otoczyć Wieżę Przeogromną ze wszystkich stron i ze wszystkich stron naraz zapalić lonty.

– Gotowe?! – zawołał admirał piechoty. – Wysadzić w powietrze! Wybić co do nogi! Furda kartacze! Cel, pal!

Zatrzęsło się powietrze. Stokroć lękliej niż wylękniony liść. I oto...

\* \* \*

Oto nad liściem nie ma już kopuły dzwonu. Tylko niebo i słońce, które wiruje, wiruje, aż gaśnie jak zdmuchnięte. „Wybuch wysadził słońce! – mówi sobie liść. – Nigdy, nigdy jeszcze ktoś tak mały jak ja...”

Ale wnet zaczyna rozumieć, że słońce dalej trzyma się nieba, a jedynie on sam fiknął do środka ciemności. Co gorsza: do środka ciemności, która do kogoś należy. I właściciel tej ciemności wyśmiewa głośno tego, co wleciał w mroczną pułapkę.

– Cha, cha, spadająca gwiazda! Prosto z nieba i prosto w mój bęben!

– To nie ja... To mną grzmotnęło...

– Gada! Może to gwiazda sztucznie nakręcana? Mówiono mi, że gwiazdy mają swoje drogi... Ale żeby tak akuratnie przez mój własny bęben?

– To nie moja droga. To droga pana admirała piechoty.

– Admiralicja w bębnie? Tego już za wiele, ty pijana planeto. Ba – a – czność i nie mrugać nawet na samo dostojne słowo!

I dobosz uderzył za karę pałeczkami w dziurawy bęben. Nie do pomyslenia było przyłgnięcie sercem chociażby na chwilę. To prawda, że nigdy jeszcze liść żaden nie był liściastą gwiazdą. I to gwiazdą, która spadła tak wysoko, że stała się podkomendną odważnego artysty. Czyż może bowiem istnieć artysta odważniejszy od tego, który nawołuje do walki? Który zręcznie przeskakuje okopy i omija lecące szrapnele? Który patrzy na śmierć innych i jeszcze zachęca do niej, i gra, i gra, i gra...

Lecz złote serduszko poczuło, że bardzo kocha swój strach. Swoją wylęknioną muzykę. Swoją odmienny spokój w śpiewającym drzewie. I wszystkie zamilkłe wiolonczelce. I wszystkich ginących Mikołajów naszego i nie naszego miasta.

– Czego migoczesz, rozgwiadzo? Stracha masz?

– Wypuść mnie! Muszę lecieć do szpitala. Po naszą bajkę.

– Aha, chorą udajesz? Tu, na froncie, każdy jest zdrowy. Bo żołnierska śmierć to zdrowa rzecz. Zalepię dziurzynsko rybim pęcherzem, ropuszmy jadem przysmaruję i graj, bębnie! grzmij, bębnie! skoro kołacze ci się po brzuchu księżycowy kamień.

– Nie! Nie będę wtórował bitwie! Puść! Puść!

Na nic wszelkie zalepianie i smarowanie. Na nic bicie pałeczkami. Bęben grać nie chce czy nie umie. Grzechocze tylko i kołata, jakby naprawdę gwiazdą był nadziany. Dziw nad dziwy, co zrobiło się z wiotkiego listeczka! Czy bicie w metal dzwonu tak go zahartowało? Czy strach tak go umocnił?

A dobosz dogaduje:

– Tchórz cię obleciał, co? Niesporo iść do ataku? Naprzód! Myślisz, że dzięki tobie skończy się wojowanie? Cha, cha, grzechotko! Wojny głową nie przebijesz. Skończy się awantura, jak robi się przez ciebie w niebie dziura.

„Grzechotko! – oburzył się listek. – Nigdy, nigdy jeszcze liść żaden nie upadł tak nisko!”

Tak mu to oburzenie oczywistym się wydało, że sam się zadziwił, gdy posłyszał swój głos:

– Dobrze. Niech ci będę grzechotką. Ale za to zrobię w niebie dziurę. Spróbuj mnie tylko wystrzelić.

– Ciebie? – zarechotał dobosz. – Ty dasz się nabić w armatę? Dygoczesz ze strachu, bojątko. O bęben się założe, że zwiejesz.

I – żeby wygrać ten zakład – położył liść na lufie armatniej.

– Ktoś musi bać się za wszystkich – szepnął liść.

I drząc całym serduszkiem wskoczył w osmoloną paszczę armaty.

\* \* \*

Przyciśnij ręce do uszu, otwórz usta, żeby nie ogłuchnąć. Za trzy sekundy... za dwie... za jedną... już!

Gorący podmuch. Taki podmuch skręca liście w czarne, zwęglone świderki – żeby przenieść umarłe przez siedem gór, przez siedem rzek i mórz. Na powrót aż tam, gdzie kończą się wszystkie bajki.

Ale to jest historia o liściu odmiennym.

Więc i skończyć się musi odmiennie.

Choćbyś wcale nie znał tej ścieżki w miejskim parku, którą idzie właśnie Mikołaj Rzępoła. Idzie bardzo wolno, z pochyloną głową, bo ciąży mu biały hełm opatrunku. Dlatego od razu spostrzega na wpół ukryte w zeszłorocznych

liściach małe, szerniałe serduszko. Podnosi je i ogrzewa w dłoniach. Aż listek zaczyna migotać jak żar wzniecony w popiele.

– Mikołaj! Czy zrobiłem dziurę w niebie? A ty umarłeś tam daleko, w szpitalu? Czy obaj nie żyjemy?

– Żyjemy. Żyjemy obaj. Na całą długość bajki. Na jej powracanie. A dziura jest mała jak liść, wiesz? Nikt nie zauważy, że dzięki niej skończyła się awantura. I nasza bajka stała się bajką o niewojnie, i wiolonczele przemówią na nowo.

– Nikt nie zobaczy, Mikołaju?

– Nikt. Ludzie nie patrzą w niebo, tylko na kalendarz...

„Szkoda... – pomyślał liść. – Zostawiłem w niebie taki odmienny ślad i nikt... A przecież nigdy, nigdy jeszcze żaden wylękniony liść...”

Ale zaraz przeraził się, że w niebie mógł zostać ślad w kształcie zbyt odmiennym. Zadrżał, i znowu był szczęśliwy, że może przyłgnąć całym sercem do tego, co jest.

Bo ostatecznie bajka musi kończyć się szczęśliwie, prawda?

Zwłaszcza, jeśli ktoś ocalił ją sobą.

Bardzo małym i bardzo przestraszonym sercem.

## **SPIS BAJEK**

Serce jak złoty gołąb  
Najstraszliwszy smok  
Chcę być żołnierzem  
Strach na opak  
Liście sarasafiksaty  
Serce wiolonczeli

Korekta: Krystyna Kluska